12 stron

Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 29 kwietnia 1945 r. | Nr 22

WINCENTY BEDNARCZUK

Na pograniczu wojny i pokoju

Słabnie puls państwa hitlerowskiego. Zwalone na kolana ciosami zadawanymi oburącz — z prawa i z lewa — jeszcze wysiłkiem świadomości osłania się od wschodu, ale i tu jego garda nie potrafi już odparować nowej serii uderzeń. Sędzia wzniósł już rękę, która będzie liczyć sekundy knockoutu.

Napisałem ten wstępny obraz i od razu w myśli go przekreśliłem. Ta metafora jest nie dobra. W wojnie dzisiejszej nie ma nic ze sportu i nic być nie powinno. W meczu bokserskim dalszy przebieg wydarzeń byłby taki: „Wyliczonego" przeciwnika kilku posługaczy troskliwie wyniosłoby z ringu, wykwalifikowany sekundant zacząłby go trzeźwić pryskaniem wody, machaniem ręcznika, amoniakiem, w razie przewlekłego omdlenia interweniowałby lekarz. Po paru tygodniach kuracji w malowniczej okolicy podgórskiej pokonany rozpocząłby zwolna trening. A jeszcze po paru tygodniach stawiłby się znowu na ring — po rewanż.

Ale nie przekreślę tego wstępu. Bowiem nie jestem pewien, czy w skomplikowanym okresie rozwoju ludzkości, w którym los niegrzeczny kazał się nam urodzić, nie znajdzie się ktoś, ktoby zechciał odegrać rolę posługacza czy sekundanta pokonanego przez k. o. przeciwnika. Są, jak wiadomo, maniacy zarażeni sportowym duchem także w polityce. I dlatego warto, by taką perspektywę uprzytomniło sobie jak najwięcej tych, którzy później musieliby znowu stawać na ringu, gdyby ci przesadni sportowcy odratowali kiedyś, przecież dziś leżącego na plecach, zawodnika. W polityce — jak wszędzie — potrzebna jest wyobraźnia, zarówno jak zdolność odrzucania emocyj i umiejętność trzeźwej analizy nawet najboleśniejszych wypadków.

Zaopatrzmy się w te trzy ingrediencje i spójrzmy na sytuację, w której znaleźliśmy się dzisiaj, na finiszu wojny. Przyjrzyjmy się paru zakorzenionym przesądom i zanalizujmy kilka uświęconych tradycją wzruszeń narodowych. Spróbujmy uświadomić sobie, czym jesteśmy.

Druga Polska zrodziła się w nienormalnej sytuacji politycznej. Pozornie nienormalność ta była dla niej niebywale pomyślna. Faktycznie pomyślność sytuacji była mirażem, który podniecał nadmierne apetyty i mylił, co do możliwości i roli, którą Polska mogła odegrać.

Druga Polska powstała w momencie, kiedy obydwaj jej wielcy sąsiedzi byli osłabieni w takim stopniu, że powierzchowny a pełen temperamentu mąż stanu mógł uwierzyć, że powtarza się sytuacja z XV i XVI wieku, kiedy Polska była dominantą polityczną Europy środkowo-wschodniej.

Piłsudskiemu to złudzenie przyszło tym łatwiej, że odpowiadało jego bujnym emocjom antyrosyjskim i dziedzicznie obciążonej sympatii do „Polaków kresowych" — do szlachty ziem litewskich i białoruskich.

Nie był zresztą w tym złudzeniu osamotniony. Przypomnijmy sobie liryczne apostrofy o rzekomym odrodzeniu „idei jagiellońskiej", szerzące się w prowincjonalnej prasie wileńskiej, chwilami przeskakujące i do stolicy.

Ciekawe, że analogia ta, fałszywa i znikoma, na pewnym odcinku nabierała ciała. Była krótkotrwała, jak wspomnienie bardzo odległych wydarzeń, ale przecież starczyło jej czasu, by popełnić ten sam błąd zasadniczy, którego dokonali kiedyś Jagielloni. I w tym Piłsudski rzeczywiście przypomina Kazimierza Jagiellończyka czy ostatnich Zygmuntów.

Mianowicie, mając do wyboru Wschód i Zachód — wybrał Wschód. Nie była to dla niego tylko linia mniejszego oporu. Nie tylko liczył się z Lloyd Georgem, który popychał go na wschód, robiąc od razu dużo wrzasku przy ładu ruchu w kierunku grzecznych, pokonanych Niemiec. Była to także kwestia wspomnień rodzinnych, awersji do carskich więzień, bardzo łatwo transponowanych na wszystko, co rosyjskie, ciasnota bujnej skądinąd fantazji, która nie umiała się zapalić do nieznanego Gdańska, Śląska i Pomorza.

To też dwukrotnie robi zajazd na Wilno, ale rozformowuje brygadę gdańską, tworzoną instynktownie przez jego rywali w Poznaniu. To też dwa powstania górnośląskie upadają z braku oficerów i broni, zdławione przez parę bawarskich i pruskich dywizyj, a trzecie kończy się nierozegraną, która obiektywnie jest naszą klęską, bo mogąc dać wszystko, dała nam tylko ochłap.

Wymowy symbolu nabiera plebiscyt w Prusach Wschodnich, rozegrany w okresie rosyjskiej riposty na wyprawę kijowską. Ta masakra polszczyzny na Mazurach po dziś dzień nie jest przez nas zrozumiana. Mówi się o wyprawie kijowskiej, jako o największej klęsce Piłsudskiego. Ale dla Polski klęska tej wyprawy była szczęściem, gdyby się wtedy Piłsudski uczepił Dniepru na dłużej — metaforyczny wrzesień nie czekałby aż dwudziestu lat.

A klęska na Mazurach — to rzeczywiście była katastrofa narodowa, pozbawiająca nas setek tysięcy Polaków i stwarzająca o sto kilometrów od stolicy bazę wypadową pokonanego i tym zacieklejszego wroga.

Piłsudski, jak Jagiellończyk, jak Zygmunt Stary, jak Zygmunt August, machnął ręką na Śląsk i Gdańsk, przyzwolił na istnienie Prus Wschodnich, zgodził się na dziwaczny wyrostek korytarza.

Podręczniki szkolne nie mogły dać sobie rady z określeniem kształtu drugiej Polski. Porównywano go do nieregularnego trapezu. Mniejsza o geometrię. Sens polityczno-wojskowy tego kształtu był za to wyraźny. Była to brama, rozchylająca swoje podwoje na wschód. Każdy, kto z Zachodu wkroczył do Polski — a od zachodu nic, najmniejszy pagórek czy rzeczka wstępu nie broniło — mógł sobie dowolnie dobierać kierunek dalszego marszu. Północo-wschód: Leningrad, wschód: Mińsk, Kijów, Moskwa, południo-wschód: Odessa. Kształt drugiej Polski sugerował od razu jej rolę: olbrzymiego place d'armes dla dalszej drogi na wschód. I Piłsudski czynił wszystko, by nasz sąsiad wschodni w pełni zdawał sobie z tego sprawę. Cóż innego oznaczały chociażby sojusze z Rumunią, flirt z Łotwą, Estonią, Finlandią, jak nie próby jeszcze szerszego rozchylenia skrzydeł bramy wypadowej.

Od trzystu lat normą polityczną dla Polski jest to, że leży ona między dwiema potęgami. Dwudzieste zaś lata były zbiegiem okoliczności, wyjątkiem, wyskokiem historii. I nie może być trwałe to, co się stało w momencie wyskoku.

Prasa urzędowa nadała Piłsudskiego oficjalny (nieco z masońska brzmiący) tytuł „wielkiego budowniczego Polski". Osobliwy to był budowniczy. Nie tylko wznosił fundamenty gmachu, ale i założył w nich minę, która gmach miała obalić.

Druga Polska upadła dlatego, że rządzący nie chcieli (i nie mogli, bez wyrzeczenia się swoich własnych przywilejów) zrozumieć konieczności historycznych. Ze zdumiewającą łatwowiernością uwierzyli w trwałość zbiegu okoliczności.

Kiedy zaś zbieg okoliczności przeminął aż nadto wyraźnie — nie potrafili ocenić racji stanu Polski. Nie było w tym także przypadku. Ich własna racja stanu zbyt daleko już odbiegła od racji stanu polskiego chłopa czy robotnika, od racji stanu narodu polskiego.

Jak wiadomo, jeszcze lipiec czy wczesny sierpień 1939 mógł nas uratować od września. Ale jakże mógł się sprzymierzać z Rosją Sowiecką rząd, który tyle łączyło z Potockimi, Lubomirskimi, Radziwiłłami.

Należy wątpić, czy chłopi spod Łańcuta, widząc na swoich drogach żołnierza sowieckiego, nadal byliby skłonni szanować nietykalność latyfundiów p. Potockiego.

A zgoła nie ulega wątpliwości, że chłop białoruski z Wileńszczyzny czy Nowogródczyzny czy Nowogródczyzny, widząc mówiących jego językiem oficerów nie będzie chciał wierzyć wojewodzie Bociańskiemu, że on, ten chłop, nie jest bynajmniej Białorusinem, tylko szczególnym, nieuświadomionym, „tutejszym" Polakiem.

Te fakty w niczym istotnym nie naruszały interesów Polski i narodu polskiego. Ale dla Radziwiłła z Nieświeża i dla Potockiego z Łańcuta oznaczało to śmierć cywilną.

Rząd przedwrześniowy miał więc dylemat: albo ratunek Polski i zguba ziemian, albo zguba Polski. Musiał wybrać to drugie. Ludzie, z których się składał, zbyt byli bliscy Radziwiłłom czy Potockim. Ich śmierć cywilna kojarzyła im się w umysłach ze śmiercią Polski.

Nie umiejąc wyciągnąć wniosków z przymusu historycznego, czynnie pełniąc funkcje sekundanta przy wracających do siły Niemczech, zaostrzając nieufność Rosji, po odrzuceniu w ostatniej jeszcze chwili jej pomocy rząd przedwrześniowy doprowadził Polskę do przepaści.

Zdaliśmy egzamin z nieumiejętności czytania historii z wynikiem katastrofalnym. Tym bardziej było to i jest dla nas nie do zniesienia, że katastrofa wrześniowa w swoich korzeniach miała wiele podobieństw do rozbiorów.

A przecież nie brakło ludzi (ze „szkołą krakowską" na czele), którzy w swoim czasie nader trafnie przyczyny rozbiorów zanalizowali.

W XIV, XV, XVI wieku rezygnowaliśmy z chłopów polskich na Śląsku, Pomorzu, Mazurach. W latach 1918—21 zrobiliśmy tak samo. W jednym i drugim wypadku przyczyna była wspólna — latyfundia na wschodzie. Rezygnowaliśmy z setek tysięcy i milionów Polaków na zachodzie, troszcząc się o dobrobyt kilku tysięcy ziemian na wschodzie.

I tyle tylko wspólnego ma polityka Piłsudskiego z „ideą jagiellońską", że tak jak tamta z tych samych przyczyn skończyła się narodową katastrofą.

Ciężko nas los doświadczył. Ale nie mówmy, że bez naszej winy. Nie upajajmy się ckliwą, pustą, obezwładniającą mitologią mesjanistyczną i Hiobową.

Każdy naród za swój rząd odpowiada. I demokracja polska też ma swój grzech; że za słaba się okazała, że dała sobie wydrzeć władzę w listopadzie 1918 r. w Lublinie, że nie potrafiła obalić w ciągu lat dwudziestu antynarodowego, zgubnego dla Polski rządu Piłsudskiego i jego tragikomicznych następców.

Oporną mamy świadomość. Nie lubimy się uczyć historii. Nie tylko nauka z rozbiorów poszła na marne, ale i tragiczny wrzesień mało kogo nauczył.

Cała polityka „rządu" londyńskiego była próbą ukrycia się przed faktami i wmawiania, że nic się od 1921 roku w Europie nie zmieniło.

Nie mówmy teraz o Warszawie, która zajmuje ona miejsce w tym samym szeregu katastrof narodowych, co wrzesień i rozbiory.

Kiedy minęła przelotna koniunktura lat 1918—21, Polska znalazła się między dwoma potężnymi państwami, które uważały, że ich granice z Polską są niesprawiedliwe i nie odpowiadają rzeczywistemu stosunkowi sił między nimi a Polską. Odtąd losy Polski zależały od orientacji — prorosyjskiej, czy proniemieckiej.

Każdy obeznany jako tako z historią mógłby stwierdzić, że między Rosją i Polską nie ma sprzecznych życiowo ważnych interesów, natomiast między Niemcami i Polską — są. Polska mogłaby istnieć (i istniała przez setki lat) bez milionów Ukraińców i Białorusinów. Natomiast Polska bez morza mogłaby istnieć tylko jako Księstwo Warszawskie czy Królestwo Kongresowe — jako przyczepka, nie jako państwo.

Ale dopóki nie wybuchła agresja niemiecka — przypuśćmy, że rządzący Polską nie obowiązani byli znać historii i decydować się na taką czy inną orientację. Jak wiadomo, konstytucja kwietniowa nakazywała Prezydentowi odpowiedzialność przed historią, ale nie czyniła go odpowiedzialnym za znajomość historii.

Natomiast, gdy wybuchła wojna polsko-niemiecka, a zwłaszcza, gdy Niemcy uderzyli na Rosję, zdawaćby się mogło, że nie ma już czasu na wątpliwości i rozważania co do orientacji.

„Rząd" jednak londyński był odmiennego zdania.

Nie życzył sobie dobrych stosunków z Rosją w okresie jej niepowodzeń.

Trudno pojąć dlaczego. Przecież w wypadku klęski rosyjskiej żadna siła nie mogłaby wrócić wolności Polsce. Czyżby liczył, że po zwycięstwie Niemiec potrafi się z nimi dogadać?

Jeszcze dziwniej zachował się w okresie rosyjskich powodzeń. Również nie życzył sobie dobrych z nią stosunków. Żądał uznania granic 1921 r.

Żądania te były nierealne. Z jakiej racji Rosja miała się zgodzić na pozostawienie w Polsce milionów Ukraińców i Białorusinów, którzy w ZSRR mieli swoje formy istnienia państwowego?

Granica 1921 r. była wynikiem ówczesnego stosunku sił między Polską i Rosją. Rosja podówczas była nienormalnie słaba. Byłoby dziwnym oczekiwać, że w okresie, gdy wróci do sił i sił tych nabierze więcej niż miała kiedykolwiek w historii — zechce zafiksować owe najzupełniej już nieaktualne granice.

Nie wzruszało to bynajmniej panów z „rządu" londyńskiego.

Czy liczyli na Anglię? Nie. Z biegiem czasu musieli się przekonać, że Anglia rozumie i popiera stanowisko rosyjskie w sprawie granic.

Czy liczyli na Amerykę? Także nie. Ostatnio konferencja krymska w tym względzie także rozwiała wszelkie wątpliwości.

Na nic nie liczyli. Po prostu się uparli. Żadne prawo na świecie nie gwarantuje, że każdy rząd musi być złożony z mądrych ludzi i biegłych polityków.

Poszli tak daleko, że odrzucili nawet propozycje rekompensaty terytorialnej na zachodzie i północy.

I żeby skończyć ze skończonym dawno „rządem" londyńskim stwierdźmy nader istotny fakt:

Nieprawda, że była przed nami alternatywa — albo Polska od Podwołoczysk do Zbąszynia, albo Polska od Bugu po Odrę.

Alternatywa była znacznie węższa. Albo Polska od Bugu po Odrę, albo Polska od Bugu do Zbąszynia.

Krótkonogim kłamstwem jest twierdzenie „londyńczyków", że nie oddaliby Wschodu. Natomiast prawdą jest, że nie zyskaliby Zachodu.

Ale myśmy Zachód zyskali. I znaczenia tego faktu nie da się przecenić.

Wiele straciliśmy w tej wojnie. Wiele strat nie odrobimy nigdy. Natomiast szczęściem naszym jest, że wreszcie wyrzuciliśmy na lamus tych, co zawinili wrzesień i Warszawę i dzięki temu zyskaliśmy wielką szansę historyczną: Polskę Zachodnią.

Dzisiaj jest to pojęcie jeszcze prawie puste. Ale jeśli włożymy w nie treść naszej pracy będziemy mogli odrobić w dużej mierze nie tylko błędy drugiej Polski, ale i błędy Jagiellonów.

Naszym nieszczęściem była przypadkowość granic — oprócz południowej.

Trzecia Polska będzie miała wszystkie granice — Bug, Karpaty i Sudety, Nissę i Odrę, Bałtyk — bardziej stałe niż kiedykolwiek.

Byliśmy i za Pierwszej Polski państwem z lufcikiem zamiast okna na morze. Teraz czterysta kilometrów wybrzeża zrobi nas państwem bałtyckim, państwem morskim.

Kształt Pierwszej Polski był płynny i rozlewny. Kształt Drugiej był niedobry. Trzecia będzie niemal kolistą (i środek tego koła będzie przy mieście Koło).

Piłsudski kiedyś nazwał wzgardliwie Polskę obwarzankiem. Znaczyło to, że wszystko wartościowe jest na jej brzegach, a w środku — pustka. Sam się zresztą walnie przyczynił do tego.

Teraz Polska najcenniejszy swój skarb — Śląsk — będzie miała w środku państwa. Stajemy się z rolniczego, państwem przemysłowo-rolniczym. Jak wielki jest to awans — nasza za mało techniczna inteligencja zrozumie nie prędko.

Z narodowościowego stajemy się państwem narodowym. Znaczenie tego awansu jest chyba wyraźne.

Wszystkie te awanse zdobyliśmy nie łatwo i nie prędko. Są to największe z możliwych awansów narodowych i państwowych. I stało się tak tylko dlatego, że — wprawdzie późno, ale nie za późno — demokracja polska potrafiła zdobyć władzę i uratować Polskę z kolejnej po wrześniu i Warszawie katastrofy, którą szykowali spadkobiercy Ozonu, politycy „londyńscy".

Nie za późno. Na finiszu wojennym stajemy zmęczeni i zniszczeni, ale z perspektywą przyszłości lepszą niż mógłby pomyśleć ktoś jeszcze przed rokiem.

Z perspektywą Polski mocniejszej nie tylko od tej sprzed września, ale i od tej sprzed rozbiorów. Mocniejszej, bardziej jednolitej, o wyraźnym, zdeterminowanym torze rozwojowym.

Aby ją zrealizować, trzeba nam pokoju nie na rok i nie na dwadzieścia lat, trzeba nam Europy wyleczonej z wojennych trzęsień ziemi na stałe. Wysunięci na zachód będziemy najbliżej serca pokonanego podpalacza świata. My pierwsi zobaczymy, jeśli mu się na nowo zamarzy pożoga i grabież. A ponieważ nie wiemy, czy znowu się nie znajdzie jakiś sekundant sportowy, który by zechciał trzeźwić amoniakiem pokonanego, musimy mieć pewność, że na pierwszy nasz sygnał będziemy mieć realną pomoc. Na ringu sędzia zabrania uderzać przeciwnika zanim stanie na nogi. My nie będziemy czekać aż wstanie, będziemy bić ledwie się uniesie na łokciach.

Taki jest sens układu rosyjsko-polskiego. Sens, który wybiega poza koniunkturę polityczną, który staje się trwałym czynnikiem historycznym. Sojusz, który wygrał nam wojnę, pozwala dziś wygrać pokój.

TADEUSZ BREZA

Zawiązki „Węzłów życia"

Okres krakowski rozpoczęło „Odrodzenie" „Węzłami życia". Większa część kraju odzyskała wolność, i wtedy mógł się odezwać głos Zofii Nałkowskiej. „To jak gdyby znowu dzwon Zygmunta zabrzmiał!" — zakrzyknął emfatycznie pewien jej entuzjasta. W każdym bądź razie była to, literacko biorąc, chwila odświętna. Myśl czytelników spieszyła do pisarki, losów jej nie odgadując, ale z dostatku i jakości owocu, który pod jej piórem dojrzał, wnosiła, że prace i osobę Nałkowskiej podczas wojny widać otoczono troską.

Pierwszy wrzesień zastał ją w Warszawie. Jak wszyscy, wahadłowym ruchem ruszyła z zachodu na wschód i z powrotem. Wróciła do swego mieszkania przy ul. Podchorążych. Nastał czas, kiedy można się było odzywać tylko o naszej klęsce, potem tylko o własnym, codziennym życiu. Inne tematy pozostawały jak gdyby na przechowaniu u Nałkowskiej. O każdej rzeczy wartej głosu mówiło się w jej domu, a raczej pokoju, jedynym oszklonym, resztę mieszkania zajmowały książki, źródło jej wieczystej troski, tak rozpożyczone. Rozmowy z panią Zofią odbywały się na górze, ale w pilnej sprawie goście jej wpadali również na dół, do sklepiku z papierosami, który zaraz od pierwszej zimy zaczęły prowadzić obie siostry Nałkowskie; Zofia i Hanna Bickowa, rzeźbiarka. Pierwsza wojenna to była niełada zima! Ulicę Podchorążych, położoną nisko, niezasłoniętą od strony Wisły, pokrył wysoki nabój śniegu. Chłopcy mknęli po nim na łyżwach. Papierosiarze również, tupiąc, rozpychając się, wpadali po towar w kilkunastu naraz. Nałkowską bawiło, że jeden z nich wołał: „Taki jestem wesół, że gdybym buty zgubił, to bym jeszcze podskakiwał na boso!" Nastrój do pochwały, ale nie w sklepiku, nadomiar kiedy go wyraża jednocześnie — legion. Czasem stawali się spokojniejsi, jak chłopaczki z „Jasełek", czy jak pastuszki, wtedy rzeczywiście można było powiedzieć o tej „trafice pani generałowej", że ma w sobie coś ze stajenki betleemskiej. Odpędzani, rozpraszali się na krótko, zaraz zaczynali się tłoczyć, a za nimi gromady dorosłych. Od tego chaosu, od tego hałasu wzrok pani Hanny stawał się półprzytomny, mała sklepowa pomocniczka upadała z przemęczenia. Stężałej atmosferze zawiści i podenerwowania, którą zionie wszelki ogonek, zwłaszcza parę razy zakręcony w kółko, z końcem na mrozie, każdy po kolei dawał się zgnębić. Tylko nie pani Zofia, która dnia tego wstała o szóstej, by ze składów gdzieś w polu, za miastem odebrać przydział, potem odbyć nad jego przejazdem stróżę, a teraz zwolnić siostrę na popołudnie. Ręce jej jak pianisty, puszczone same wprost grają co chcą paczuszkami z towarem, pieniędzmi, resztą, a język również przytomny, z towarzyszeniem wymowy oczu formułuje w pełnym spokoju jakiś sąd doskonały czy pyszne opowiadanie. I nie jest to żadne zasłuchanie w sobie, urazowa niewrażliwość i wymowność, ale tak wyborny gatunek całej fizycznej substancji i szarej substancji mózgu, jak bywa czasem doskonały motor, w każdych warunkach na chodzie.

Mimo to sklepik jest oczywiście uciążliwy, zwłaszcza kiedy wszystkie mieszkania na Podchorążych zostają zajęte dla esesów. Wtedy panie przenoszą się na Madalińskiego, tam znowu podoba się mieszkać jakiejś Niemce. Teraz dla Nałkowskich w olbrzymiej Warszawie jest tylko jedna możliwość — zagnieździć się w pracowni pani Hanny, na rogu Nowego Światu i Foksalu, na czwartym piętrze, na poddaszu, gdzie latem słońce jak diabli, zimą od wielkich przestrzeni oszklonych mróz, a wiosną i jesienią zacieki i potoki. Ale po cóż od razu cały kalendarz! Ta pracownia ma być na krótko. Musi być! Grupce osób będących blisko z Nałkowską wiadome jest, że zbiera się jej na pisanie. To odwet za te trzy lata milczenia, zwycięstwo nad przymusem warunków, w które ją pchnięto, odparowanie przynajmniej jednego z tysiąca ciosów zadanych naszej kulturze, maltretowanej z taką premedytacją. Przecież ze zgrozą liczymy ubytek wśród pisarzy, z gazetkami dzielimy boleść nad upadkiem rozmyślnie psutej po szmatławcach mowy. Więc to tryumf dla nas, że oto z mózgu i z serca tej właśnie pisarki może popłynąć kryształowa struga sensu i piękna. Ale gdzie!

Górka u Nałkowskiej była niewątpliwie jednym z najbardziej swoich miejsc, jakie miała kultura w stolicy. Za każdą bytnością zbiegało się z tych wysokich pięter na nowo w oczarowaniu. Nałkowską odwiedzała stale mała grupa jej kolegów literackich, „uczęszczali" tu również młodzi i ci najmłodsi, o nich to się mówiło, właśnie z taką pomocą terminologii specjalnej, że „chodzą na Nałkowską", „kończą", o tym czy innym, że jest „na pierwszym czy na drugim roku Nałkowskiej". Nie znaczy to, aby mógł odczuwać w przebywaniu z nią coś z kursów, bo nic tam nie było szkolarskiego. A tylko rozmowa z osobą pasjonującą się wszystkim, wszystkiego szalenie ciekawą, życia ludzkiego i biegu każdej myśli Młodzi przychodzili na górę z gotowym materiałem spostrzeżeń i przemyśleń. Nałkowska słuchała jak nikt, poczem następował moment owej świetnej formulacji, kiedy na żywo, w pogawędce, którą na moment przerywała swoim „zaraz, zaraz, chwileczkę!", aby wziąć rzecz właśnie co powiedzianą i nadać jej kształt jak z igły, krótszy i przejrzysty. Czyniła to przede wszystkim, żeby lepiej zrozumieć, co kto powiedział, tłumacząc to sobie na swój własny język, doskonalszy. A wnioski, którymi opatrywała cudzą relację! Często one dopiero nadawały jej sens i wyjaśniały, po co w ogóle ten czy inny młody z nią wystąpił. A jakie pyszne były własne opowiadania Nałkowskiej albo dyskusje z nią w sprawach literackich czy filozoficznych. Gdyby istniała nagroda Warszawy za najlepsze utrzymanie atmosfery w tych rzeczach podczas pięciu lat okupacji, przyznałbym ją bez wahania Nałkowskiej! Najprostsza rozmowa z nią, doprawdy pokaz, o ilu rzeczach trzeba zawsze pamiętać i jak bardzo spokojnie, aby coś zrozumieć. Widząc, w jakiej jest formie, można się było wściec, że warunki nie dają jej pisać. Sklep, o ile go nie było całym dniem przypilnować, nie dawał nic. A tymczasem dla ludzi, którzy by coś mogli, książka w tym czasie wojny to było coś nierzeczywistego. Zwłaszcza taka, której jeszcze nie było.

Aż w końcu przyszły czasy, kiedy i oni się zmienili. Przez nich zarabiany pieniądz, spróbował wszystkich rzeczy w jego mniemaniu prawdziwych. Ulokował się w walutach, w zapasach, w domach, w ziemi, obrazach, wełnie, papierze, jednak nadal pęczniał po kieszeniach, nie umiejąc wprost sobie miejsca znaleźć, wtedy poszukał książki. Takiej jeszcze niewydanej. Okazało się, że kiedy chodzi o interes, on się nawet zna na literaturze, niestety, kiedy szło o literaturę, nie znał się na interesie! Bo wprawdzie do Nałkowskiej przyszedł, ale jako honorarium zaproponował życie za dwa miesiące. Inny pieniądz, któremu patronował pewien profesor uniwersytetu, zaryzykował kwartał, z tym, że miała to być również zapłata za prawo druku książek Nałkowskiej po jej śmierci. „Teraz są takie czasy, pani może już nic nie napisać!" Reprezentant znakomitego przedwojennego nakładcy też się okazał ostrożny i taki sam pesymista. W końcu zjawił się człowiek całkiem dorzeczny i przyzwoity, przezwany „Wszystkokupić", którego rozmach był znaczniejszy niż środki, uległe na skutek tego rozdrobnieniu. I trzeba powiedzieć, że jeżeli ostatecznie udało się Nałkowskiej związać koniec z końcem „Węzłów", stało się to dlatego, że istniał pod Grodziskiem we wsi Adamowizna domek należący do państwa Zahrtów, właściciel apteki na Chłodnej. Tam na wsi, goszcząc za mnóstwem nawrotów, świadomie i przemyślnie napędzana do roboty, mogła Nałkowska dokonać tej wyczerpującej pracy, a technicznie biorąc zupełnie zagadkowej, do której się ucieka powieść klejąc. Bo odpowiednie w tym wypadku jest właśnie takie wyrażenie. Książka Nałkowskiej powstaje we wszystkich miejscach naraz. Puszcza się wszędzie na całej przestrzeni jak kiełki na roli. Zarys powieści jest dokładnie autorce znany. Nałkowska myśli o niej widząc całość. Za dzień napisze stąd kawałek, zowąd; potroszę z różnych miejsc, z różnych rozmów, wszystko dość bliskie ostatecznej stylizacji, ale z rozdziałów nie po kolei i w ogóle bez związku z tokiem opowiadania. Aż wreszcie powstaje odpowiednia góra tych akapitów, biała czupryna paseczków. I w końcu jest ich dosyć. Wtedy potrzeba pisarce spokoju, i to na czas długi, by mogła wziąć się do trudnej sztuki scalenia cząsteczek, zalania luk, często znacznych, oraz wywiórkowania całości, dla uzyskania owej cudownej, gładkiej, jednolitej powierzchni, jaka występuje u niej zawsze. Tę pracę wykonała Nałkowska w Adamowiźnie wieloma pobytami w ostatnim półtoraroczu przed powstaniem (tam zresztą przebyła powstanie), w owej Adamowiźnie, nie w żadnym latyfundium, lecz chłopskim gospodarstwie, do którego p. Zahrt wracając z farmacji sam przykłada ręki. Przez całe miesiące pokój Nałkowskiej, ciasny, ale na końcu korytarza, usłany był papierkami; obcym mówiło się, że to rachunki z trafiki. Włodzimierz Pietrzak powiadał: „Ona pisze na kartkach, jakoś je kroi, zlepia śliną i ma powieść!" Tylko że to szło w powolnym tempie. Dopiero na wiosnę ubiegłego roku coś, a ściśle mówiąc dwie pierwsze kartki można było zobaczyć. A raczej tych pierwszych stron wysłuchać! Z jaką tremą przeczytanych! „I to pani ma tremę, będąc Nałkowską! Dlaczego?" „Bo chcę nią pozostać". Tekst od pierwszych słów robił duże wrażenie i zarazem powiadał, że w autorce „Choucas" zaszła nowa zmiana. Ukazywał Nałkowską bez precjozów, spokojną, z blaskiem umyślnie ściszonym, aby czytających nie rozpraszać, gdyż teraz widocznie byłoby to dla niej szczególnie niecierpliwiące znowu zwracać uwagę swoim — jak ona mówi, a nie co.

Powieść, z której w końcu ubiegłego roku była do pokazania ludziom połowa, zdumiewała jeszcze jednym. Stosunkiem do świeżo zamkniętej przeszłości. Tej sprzed wojny. Któż odgadł, że ten stosunek zawsze chłodny (w „Teresie Hennnert" czy w „Granicy") stanie się aż tak zimny. Może nawet samej Nałkowskiej dopiero pisanie okazało co myśli, co ostatecznie czuje na temat owej epoki, w której „starzy odeszli od siebie samych", a młodzi „głupieli w oczach". Dawna jej pobłażliwość dla ludzi, których się znosiło, znikła, ciekawość do ich osób zmieniła się w niechęć. Taki jest bieg twórczości! W rozmowach, w roztrząsaniach, obracając jakąś sprawę w głowie, pisarz patrzy, przygląda się, i aby nie spłoszyć, nie wyrokuje. Dopiero kiedy ma ukazać, kiedy w dziele zaczyna wywoływać, to już wywołuje na sąd, bo choć wszystko zrozumiał i powinien rozumieć, prawdę wybrał tylko jedną.

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*)

Oxeński istotnie uchylał się już od życia, zniewolony do tego przez swą niezwykłą chorobę. Polegała na tym, że słyszał nierzeczywiste głosy i nierzeczywiste słowa, cierpiał mianowicie na tak zwane omamy słuchowe. Lekarz uważał to za odmianę łagodną tego cierpienia, poczytywał bowiem za objaw dodatni, że Oxeński odróżnia głosy nierzeczywiste od prawdziwych, że im nie wierzy, zdając sobie sprawę z tego, iż są halucynacją.

Poza lekarzem Baraz był po dziś dzień jedynym człowiekiem, który o tym wiedział. Oxeński umiał to ukryć przed synem i przed żoną. Jakże świetnie zachowywał pozory, jak długo strzegł przed wszystkimi swej tak wymyślnej, swej — można powiedzieć — tak pikantnej tajemnicy. Nie zdradził się nawet przed swym starym przyjacielem, Wysokolskim.

Ten wysiłek wydawał się niekiedy Barazowi naprawdę bohaterski. Chwila wzmożonego współczucia, chwila słabości, którą zdolna jest spowodować przyjaźń, sprawiła, że i Baraz wyznał Oxeńskiemu rzecz, którą zwykł był dotąd przemilczać. Dotyczyła jego ojca, była wspomnieniem dalekiego dzieciństwa. Stanowiła sekret pewnych poranków, w które — niczym do tego nie przymuszony — ojciec wstawał na długo przed świtaniem i chyłkiem, cicho, wymykał się z domu na wiadomą górkę za miastem, piaszczystą górkę, zarosłą paru brzozami. Nikt tam już pewnie tego sobie nie przypominał. Jedna matka mogła pamiętać. Ale gdyby nawet mówiła kiedy o tym, to w miejscu, gdzie teraz przebywała, na pewno nie brano tego na serio.

Tak więc przyjaźń Baraza z Oxeńskim polegała na zaufaniu, opierała się na pakcie wzajemnej dyskrecji. A oto... Tak.

Baraz zeszedł na dół z pięciu pięter wąską klatką schodową, o ścianach, wylakierowanych na kolor turkusowy. Dębowe drzwi mieszkań i poręcze wykładane były blachą świecącą, jak lustro. Z ogrzanych murów, wydostał się na wilgotne zimno poranka styczniowego. Popielaty mróz przywarł smugami śniegu do chodników, drzewa wzdłuż ulicy Marszałkowskiej zwolna zamiatały gałęźmi niebo mętne, bez słońca i bez chmur.

Baraz skręcił z bramy na lewo i w narożnym kramiku, od niechętnej, zmarzniętej kobiety kupił sobie gazetę. Rozejrzał się po jezdni, przepuścił dwa tramwaje i wskoczył do przejeżdżającej trójki.

Czyste nowe wnętrze wozu ogarnęło go swym ciepłem. Pasażerów było niewielu, skórzane pętle uchwytów chwiały się lekko u stropu, błyszczały wyczyszczone mosiężne okucia, znane ogłoszenia kremu Elida rozkładały w ramkach nad oknami swe nudne obrazki. Baraz usiadł na wolnym miejscu przy oknie i sięgnął po gazetę. Naprzeciwko siedząca kobieta popatrzyła pytająco. O tej spóźnionej porze poranka nikt nazbyt nie spieszył się do pracy. Ludzie, niesieni bez wysiłku i za psi pieniądz ku miejscom swych przeznaczeń, rozparli się wygodnie na miękkich, skórą krytych siedzeniach i przeglądali dzienniki. Konduktor powtarzał obojętnie: „Kto z państwa nie posiada biletu?" Nikt nie udzielał mu odpowiedzi na to retoryczne pytanie. Baraz przeczytał od strony prawej ku lewej wywróconymi wersalikami wydrukowany tytuł na gazecie, którą trzymał przed sobą człowiek, siedzący w następnym przedziale: **Ostatnie wypadki w Hiszpanii**.

Rozłożył swój dziennik i dowiedział się o wzięciu Barcelony. Wczorajsze wiadomości radiowe nabierały w druku więcej ciała, obrastały w szczegóły i komentarze. Człowiek przybliżył do siebie świat, przedłużywszy swoje organa percepcji o telegraf i radio, przyśpieszył go i zgęścił. Wrażenie dalekiej klęski działało silnie, stawało się czymś własnym. Baraz śledził od dawna przebieg tej wojny domowej. Dziwno mu było, że sprawy, już rozstrzygnięte myślą, już przesądzone wolą, wymagają długich, krwawych lat, by wejść w życie. Że ludzie z takim mozołem przedzierają się ku swej nieuniknionej konieczności.

Uczuł niepokój. Ciepło kaloryferów, grzejące kolana, zapach świeżych rzemieni, dyskretne łomotanie kół na spojeniach toru, ten cały bezpieczny luksus codziennego życia stolicy raził Baraza. I tu nie mógł znieść, jak w ministerialnych pałacowych salonach, nadmiaru wygody. Dla jego wciąż powściąganej, znudzonej siły tak urządzony świat był zbyt miękki i życie w nim zdawało się zbyt ułatwione. Młoda kobieta naprzeciwko siedząca, patrzyła na niego swym pytającym wzrokiem. I ta była zbyt łatwa, i tu wystarczyło powiedzieć bylejakie słowo, by móc sięgnąć po nią ręką, by ją „wziąć".

Wóz zazgrzytał na zakręcie. Przez zamgloną szybę Baraz wyjrzał na ulicę, poznał szyldy znajome i wystawy obu sklepów narożnych. Złożył dziennik, wsunął go do kieszeni futra i na wielkie swe białe ręce powoli wkładał rękawice. Nieśpiesznym krokiem poszedł ku wyjściu. Chwilę stał na platformie i nie czekając, aż tramwaj zatrzyma się na przystanku, zeszedł w biegu na jezdnię, jednym stąpnięciem, jednym odchyleniem się w tył amortyzując pęd wozu.

Szedł teraz dużymi krokami przez plac w stronę niedawno odnowionego Ratusza. Ze ścisłością pedanta sprawdził, że zegar wieży wskazuje tę samą godzinę, co jego mały zegarek na ręku. Było trzy na dziesiątą. Przed szeroko rozłożoną, białą kolumnadą Teatru Wielkiego leżał na skwerach nieznaczny brudny śnieg.

Drażniło go, że spotyka wciąż oczami spojrzenia kobiet. Nie był próżny, całkiem przeciwnie. Miał inne ambicje. Owszem, wiedział, to wszystko: duża postać, jasna twarz, bezczelne oczy — często o tym słyszał. Jego szerokie kości, sztywność ruchów, kark, zachodzący wysoko na czaszkę — to zawsze ściągało ich uwagę, to na nim w pewien sposób zaciążyło od wczesnej młodości. To go zobowiązywało. Miał powodzenie, ale uważał, że jest w złym gatunku. Nie był taki, na jakiego wyglądał. Był ciężki i leniwy, był raczej wytrwały i uparty, niż silny. Oxeńska zarzucała mu nawet, że jest słabym człowiekiem.

Skręcił w ulicę Bielańską, minął gmach Banku Polskiego i bokiem cofnięty, ukryty za przejrzystymi drzewami pałacyk Radziwiłłów. Zaczynającą się tu egzotyczną dzielnicą żydowską doszedł do wielkiego białego gmachu z ciężkim napisem na frontonie O sprawiedliwości, dźwigającej Rzeczpospolitą.

Stracił tu dość dużo czasu, by wreszcie w błahej sprawie i ku uciesze swego klienta osiągnąć paru słowami gorącej perswazji, że została odroczona. Wyszedł z nim razem do rozległej, białej poczekalni. Odbite od niskich zaśnieżonych dachów światło wlewało się przez rząd okien, wyciętych w północnej ścianie. Wydawało się tu jaśniej, niż na dworze.

Stali przez chwilę przy jednym z okien. — Dziękuję, nie palę, — powiedział Baraz zniecierpliwiony, gdy tamten po raz drugi otwierał przed nim papierośnicę. Już niejednokrotnie mówił mu, że nie pali i nie pije, zawsze musiał się opędzać od jakichś jego zaproszeń. Klient — niedużo, ruchliwy, o krótkiej twarzy i czole, nasuniętym na oczy, — był pełen wdzięczności, że się udało. Ale czegoś chciał jeszcze, o coś mu wciąż chodziło. Powstrzymywał się od śmiechu, parskając nim jednakże od czasu do czasu na myśl o wydłużonej minie „powoda". Jeszcze powtarzał z naciskiem argumenty swej słuszności, od dawna Barazowi znane i w tej chwili całkowicie już nie potrzebne. Denerwował się też następnym terminem odłożonej sprawy. Rozmawiając Baraz zaczął się posuwać wraz z tamtym aleją czarnych kandelabrów z kutego żelaza, wyobrażających ciasno związane rózgi liktorskie. Niewielu ludzi siedziało w oczekiwaniu na ławkach pod oknami, inni stali w sennych grupach, snuli się przez korytarze. Drzwi od sal otwierały się niekiedy, wzywało świadków, strony doczekawszy swego losu, opuszczały gmach. Barazowi było gorąco w todze. Ciepłe podmuchy kaloryferów, lśniące biało lakierowane ściany, niezliczone sale posiedzeń wzdłuż wielkich korytarzy — to znów wydawało mu się zbyt bogatą ramą dla toczącej się tutaj doraźnej, pobieżnej sprawiedliwości. Był wreszcie czas, żeby zatelefonować, i Baraz pożegnał natręta.

Gdy zmierzał w stronę kabiny telefonicznej, jedne z drzwi na korytarzu rozwarły się i wyszedł z nich gibkim krokiem generał Wysokolski.

— Pan generał tutaj? — spytał Baraz wesoło, poddając się znanemu rytuałowi jego kordialnych powitań. — Dziękuję, nie palę, — powtórzył jeszcze raz, gdy ten podsunął mu swe papierosy w dużej, pokrytej monogramami papierośnicy.

Zrobiło mu żywą przykrość to spotkanie w chwili, gdy oto szedł umawiać się z córką tego człowieka na popołudnie do swojej garsoniery.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19, 20 i 21 „Odrodzenia".

MIECZYSŁAW WIONCZEK

„Stałać się rzecz wielmi dziwna"...

Wrocław, w kwietniu

BUSOLA LOSÓW NIEMIEC

Ponad dachami domów strzelają w górę pióropusze dymów. Ramy okienne w regularnych odstępach czasu drżą w takt artyleryjskich wystrzałów. Wtórują im delikatnym brzęczeniem szyby. Mieszkanie doktora Schulteissa, który gdzieś pod gradem bomb tuła się po szczątkach niemieckiej ziemi, nie spodziewało się nigdy takich gości i antenaci doktora patrzą krzywo z portretów wielkiej jadalni na kilkunastu cywilów z biało-czerwonymi opaskami i milicjantów w rogatywkach.

Johann-Wolfgangstrasse, przy której mieszkał doktor Schulteiss, leży w willowej dzielnicy Wrocławia, która może mieć lat czterdzieści. Pamięta ona dawne, dobre, cesarskie czasy, ale i wtedy, kiedy ją wytyczano, nikt tu po polsku już nie mówił. Nie słyszały polszczyzny głośnej i radosnej, ani Schweidnitzerstrasse ani Reichspräsidentplatz, usiane dzisiaj niemieckimi trupami, gapiącymi się niemo w zaświaty. Ulice są za młode, mają lat kilkadziesiąt, może sto. Wrocław dawniej po polsku przestał mówić.

Może gdzieś nad Odrą, w starym kościółku na Piasku na odrzańskiej wysepce czy u św. Krzyża, polski chłop z wrocławskiej regencji odmawiał tu czasami polski pacierz, ziwaczną nieco, na modlitewnikach starych czoną polszczyzną. A potem przechodził obojętnie mimo kamiennych nagrobków z pięknie rzeźbionymi postaciami, nieświadom, że to Piastowie śląscy spoglądają na niego. Któż go miał uczyć o Henrykach Brodatym i Pobożnym, co i Wrocław i Kraków — oba polskie jednako miłowali, o Petrku Właście, co na budowę kościołów wrocławskich klejnoty kupcom włoskim sprzedawał. Miasto było niemieckie jak świat światem, a że gdzieś tam po wioskach po śląsku się gadało, mowa to była chłopska, nie miejska.

Doktor Schulteiss, dobrowolny czy niedobrowolny z Wrocławia uchodźca, był Niemcem przeciętnym, może od sąsiadów bogatszym nieco, bo zajmował siedem czy osiem pokojów. Myślał i czuł jak wszyscy, czytał i słuchał „wodza" i mniejszych wodzów, gdzieś w zakamarki szafy spychając Heinego i Thomasa Manna, wrogów „Wielkich Niemiec". Był, sądząc po zawartości szaf bibliotecznych, tzw. kulturalnym Niemcem i rodzinne miasto obchodzić go musiało, skoro na podłodze jego gabinetu leży sporo książek, poświęconych dziejom Wrocławia. Dziś doktor Schulteiss odszedł wraz z „Wielkimi Niemcami" z Wrocławia. Książki pozostały.

Wszystkie pochodzą z lat ostatnich i niemieckość, ba, praniemieckość miasta jest dla ich autorów najzupełniej oczywista. Co prawda dowodów historycznych podają niewiele, ale po cóż czas tracić na udowadnianie faktów niewątpliwych. Wszak Wrocław od zarania dziejów związany jest z Niemcami i to aż do tego stopnia, że przewodnik po Wrocławiu anno 1936 zaczyna się zdaniem: „Man hat Breslau treffend die Magnetnadel genannt, welche die Schicksalslage Deutschlands anzeigt". Po uwolnieniu się od zawiłości niemczyzny znaczy to tyle, co — Wrocław jest busolą, na której odczytać można losy Niemiec.

Przed domem, w którym znalazłem tę cenną cytatę, grzeją się w wiosennym słońcu sowieccy żołnierze, za ścianą kilku polskich milicjantów śpiewa jakieś ludowe piosenki, a kilka kilometrów od nas dopełnia się los „niemieckiego miasta" — Breslau. I równocześnie dopełniają się losy Niemiec. Ustami autora przewodnika z r. 1936 przemówił prorok.

RETUSZERZY HISTORII

Cała współczesna literatura o Wrocławiu załatwia się bardzo lakonicznie z kilku pierwszymi wiekami dziejów miasta, bo cóż mogą znaczyć trzy czy cztery wieki dla Rzeszy wiecznej i nieśmiertelnej? Niemiec XX wieku ma dla historii szacunek, szafuje historią co niemiara, gdy mu jest potrzebna. Mistrz Rosenberg rozsnuwa przed milionami czytelników wielkie historyczne widowisko, w którym nie brak i św. Pawła i Franciszka z Assyżu, nie mówiąc o Barbarossach i Fryderykach Wielkich. Za wielkim prestidigatorem „historii" idą w ślad niezliczone rzesze większych czy mniejszych jej retuszerów, których płody docierają do każdego niemieckiego mieszkania, do każdego niemieckiego umysłu. Dziś historia bierze odwet na mistrzach i uczniach tupotem żołnierzy sowieckich na ulicach Wrocławia i alianckich po ulicach Norymbergi.

Bez retuszu dzieje Wrocławia wyglądają nieco inaczej. Inny przewodnik po mieście, starszy o lat sto przeszło od znalezionego w mieszkaniu doktora Schulteissa, zaczyna się od słów: „Damals wurde das Land von Polen besessen. Endlich ertheilte der Kaiser das ganze Land den Polen zu und Herzog Casimir baute daher 1052 hier ein Schloss". Co prawda nic nie wiadomo polskim historykom o fakcie „przydziału" Śląska Polsce przez cesarza, ale wszystko poza tym zgadza się z prawdą. Wrocław, miasto, które w naszych czasach wymieniało się w zestawieniu z nazwami: Berlin, Hamburg, Kolonia, Lipsk, przez pierwsze czterysta lat swego istnienia w innym występowało towarzystwie. Vratislavia pojawia się w źródłach historycznych obok Krakowa, Poznania i Gniezna, a pierwszą w ogóle zapiskę o Wrocławiu zawdzięczamy faktowi powstania arcybiskupstwa w Gnieznie.

Pod zewnętrzną czysto niemiecką powłoką Wrocławia każdy dość wrażliwy przedwojenny podróżnik po Niemczech odczuwał istnienie jakichś warstw obcych niemieckości. Tysiącletnie blisko miasto, w którym według zapewnień historyków niemieckich od lat blisko ośmiuset po niemiecku żyło się i mówiło, miało w swym stylu życia jakieś elementy, których istnienia nie wyczuwało się ani w Berlinie, ani w Kolonii, ani nawet w zbudowanym na słowiańskim fundamencie Królewcu. Istnieje berlińskie powiedzenie, które może będzie kluczem do odczytania tajemnicy Wrocławia, tego niemieckiego, a jednak nie niemieckiego miasta: „Alles, was hinter dem Schlesischer Bahnhof steht, ist der Osten". Wszystko co leży poza śląskim dworcem (w Berlinie) to wschód.

Wrocław, szóste co do wielkości miasto Niemiec, nie ma żadnych niemieckich (w sensie dzisiejszej niemieckości) tradycji historycznych. W ciągu tysiąca lat swego istnienia przez lat czterysta pozostawał w zależności prawno-państwowej od Polski, przez dwieście lat — od Czech, dwieście — od Austrii i dwieście wreszcie od Prus. 965 — 1335 — 1526 — 1741 — 1945 oto daty, zamykające te okresy życia Wrocławia. Nic dziwnego, że po zepchnięciu do zakamarków archiwalnych i bibliotecznych jego nie pruskiej, trwającej osiemset lat przeszłości, nic nie pozostało. A Wrocław tamten historyczny nie mógł być miastem o klimacie odpowiadającym Niemcom ostatnich pokoleń, Niemcom pruskim. Obcość Wrocławia dla Niemców, to obcość tego wszystkiego, co znajduje się poza dworcem śląskim w Berlinie, a co jest słowiańskim wschodem. Wschód jest i był przez całe dzieje Niemiec czymś pożądanym, a jednocześnie nie dawał oparcia, bo był obcy, niezrozumiały, grzęzły w nim nogi, jakkolwiek stawiane w podkutych, żołdackich butach.

Nie bez przyczyny mitologizuje się znaczenie Fryderyka Wielkiego dla Śląska. Seria „Schlesische Schriften", wydawana w ostatnich latach przez uniwersytet wrocławski, specjalnie sobie postać Fryca upodobała. Fryderyk ma być przeciwwagą dla całej do XVIII wieku historii provinciae Vratislaviensis, jak nazywał Śląsk Gall-Anonim. Bo historia ta nie była historią części Niemiec i jakkolwiek przykryta we Wrocławiu niemieckim brukiem, przesączała się jakoś w atmosferę miasta, czyniąc ją trudną do zniesienia. Musiało to docierać jakoś do tych licznych Niemców wrocławskich, którzy emigrowali do Berlina (bo w Berlinie po słowiańskiej prehistorii pozostało tylko kilka nazw), dając asumpt do innego paradoksalnego niemieckiego powiedzenia: „Die meisten Berliner stammen aus Breslau".

WROCŁAWSKA POLSKA

Przedmieście, z którego obserwuję walki w centrum Wrocławia, nazywa się Oltaschin. Jedyny to tutaj ślad polskości w nowoczesnej willowej dzielnicy. Polska wrocławska, Polska historyczna jest tam, o dwa kilometry przed nami, w piekle walk o dzielnice nadodrzańskie. W welon dymu snujący się nad śródmieściem powbijane są szpilki gotyckich wież kościelnych. Nie wiem, która z nich należy do kościoła świętokrzyskiego, która do kościółka ss. Urszulanek, ale wiem, że sześć spośród szesnastu katolickich kościołów Wrocławia wybudowali polscy książęta i magnaci. Ta niepewność, co spłonie a co ocaleje, dusi wielkie niewypowiadalne uczucie radości, że jest się we Wrocławiu znów po sześciuset latach polskim, że przeżywa się godziny realizacji sprawiedliwości historycznej. Że jednak nasze jest na wierzchu!

Miasto Breslau wiele nagromadziło dowodów na to, że właśnie Wrocławiem jest, a nie Breslau. Jeśli zestawi się jego dzieje, przeplecione wielu katastrofami historycznymi i żywiołowymi: najazdem Tatarów w r. 1241, pożarami w 1342 i 1529, zniszczeniem w czasie wojny trzydziestoletniej i bombardowaniem artylerii francuskiej w r. 1807 z ilością zabytków polskich w murach Wrocławia jeszcze przed paru tygodniami, to dochodzi się do wniosku, że dawna wrocławska regencja to jeden olbrzymi pomnik kultury polskiej. To nie przesada, że Niemcy w zbiorowym szale samobójczym mordują równocześnie miasto, którego znaczenie historyczno-kulturalne dla Polski nie mniejsze jest od Krakowa czy Poznania. I może obrona niemieckiego Wrocławia jest równie świadomym aktem wściekłości ginącego narodu herostratesów, jak obrona i bezmyślne zniszczenie polskiego Poznania i Gdańska.

Może w tej chwili, kiedy piszę, pożar trawi gmachy uniwersyteckie czy muzeum starożytności. Może szary kłąb dymu widoczny poza dachem gmachu sowieckiej komendantury Wrocławia, to wszystko, co pozostało ze zgromadzonej w archiwum państwowym korespondencji książąt śląskich, do których jeszcze w r. 1567, jakkolwiek od 400 lat według oficjalnej historiografii niemieckiej byli Niemcami, pisał jeden z książąt ruskich:

Jasznie Oswiecone. Panu Jerzemu z łaski bożej xiążęciu szląskiemu, legnickiemu i brzeskiemu

Powolny Brath i życzliwy przijaciel.

30 000 dokumentów z dziejów piastowskiego Śląska, setki listów panów i królów polskich z XV—XVIII wieku — w archiwum miejskim; największy w Europie zbiór szesnastowiecznych druków polskich, rękopiśmienne kodeksy z XIII—XV wieku z glossami, modlitwami i kolendami polskimi na marginesach i 80 kronik śląskich w zbiorach uniwersyteckich; 600 inkunabułów i pergaminowy mszał poprzedzony polskim kalendarzem z r. 1325 — w bibliotece miejskiej; wykopaliska słowiańskie z VII—XI wieku w tylnych suterenach muzeów starożytności śląskich — oto „niemiecki" Wrocław, broniony przez kilkanaście tysięcy SS-manów.

WYPRAWA KOLUMBA

Oczyszczone dzielnice Wrocławia pławią się w kwietniowym słońcu. Są równie bezludne, jak cały przebyty wczoraj Śląsk wrocławski: Brzeg, Olawa (pamiętająca wojska Kazimierza Jagiellończyka), Lignica, Głogów. To nie tylko strach wypędził z nich niemiecką ludność, to świadomość, że nie byli u siebie, to świadomość, że „wszystko, co leży za śląskim dworcem Berlina" to wschód, gdzie rola Niemiec skończyła się.

W mieszkaniu doktora Schulteissa jest nas jedenaście osób. Przed nami leży miasto, które miało wczoraj trzy czwarte miliona mieszkańców, wokół nas leży wyludniony kraj, z którego uszły dwa przeszło miliony ludzi. Jedenastu contra trzy miliony. Nie wiem, ilu ludzi liczyła wyprawa Kolumba, ale przychodzi mi ona uparcie do głowy. Raczej nie wyprawa Kolumba, ale wyprawy polarnych eksploratorów. Bo tak, jak oni, nie napotykamy ludzi. Inaczej jednak niż oni, napotykamy nie kraj obcy, nieznany, ale kraj swój.

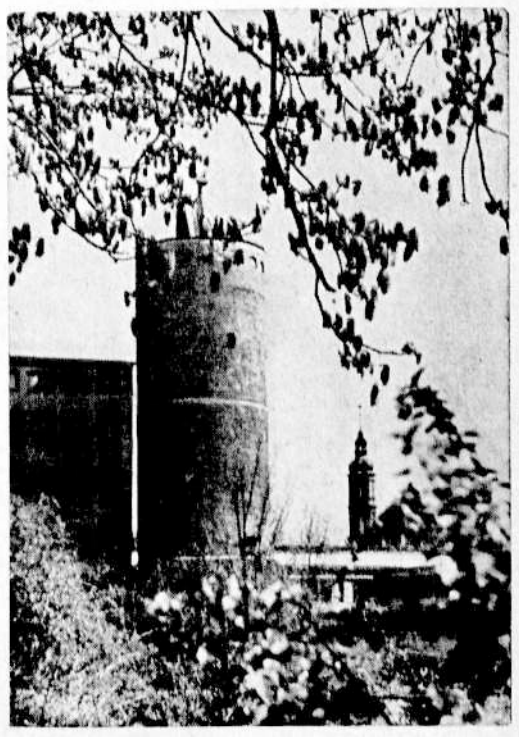

Wiosna w Opolu

Powracamy na ziemię naszych przodków, napotykając ją taką, jaką napotkali ją oni — niezaludnioną, a którą trzeba zaludnić, bogatą, ale bogatą potencjalnie, zależnie od naszej pracy. Tylko że oni, mieszkańcy provinciae Vratislaviensis, nie mieli do czego nawiązywać, a my możemy nawiązać do nich, wymarłych synów ludu dolnośląskiego, o którym stara kronika mówi: „rustici contra Germanos mordaces" — chłopstwo zawzięte przeciw Niemcom.

Jedenastu ludzi w domu przy Johann Wolfgangstrasse w Wrocławiu siedzi nad planami wielkiego do wczoraj miasta. To patrol zwiadowczy Polski znad Wisły, wysłany nad Odrę, w której z pluskiem rozrywają się jeszcze pociski. Na gruzach sześciu wieków słowiańskiego i czterech wieków niesłowiańskiego Wrocławia ma on dać początek nowemu życiu, które będzie cząstką trzeciej polskiej niepodległości. Tych kilkunastu ludzi ma objąć miasto o kilku tysiącach domów, ma nakreślić plany zabezpieczenia tego wszystkiego, co po zakończeniu walk zostanie: fabryk i kościołów, elektrowni i budynków szkolnych, muzeów i zakładów asenizacyjnych.

Od normalnego, zwykłego życia kraju tam nad Wisłą dzieli nas dzień jazdy samochodem, kilkaset kilometrów ziemi — wczoraj niemieckiej, dziś wskutek pustki i ruin — niczyjej, jutro — naszej. Znów natrętna myśl o wyprawie Kolumba, którą dzieliło od jej świata, od Europy — pasmo niczyjego morza, poczucie samotności w oddaleniu, połączone z równoczesnym poczuciem siły eksploratorów. Żyjemy w dniach, kiedy Polsce dana jest wielka szansa. W Europie zachodniej i środkowej eksploracje zakończyły się wtedy, gdy powstawała pierwsza nasza niepodległość — niepodległość czasu Piastów. A potem był już tylko jeden kierunek ekspansji — wschód. Linii Curzona nie wytyczył ani lord angielski, ani Konferencja Krymska, tylko nasza polska nieudolność gospodarczo-kulturalna, wynikła z opóźnionej struktury społecznej narodu. Mogliśmy zostać **bez wschodu i bez zachodu.** I otóż wracamy nad Odrę. Płynie poprzez próżnię, tak jak płynęła poprzez próżnię, kiedy osiadały nad nią pierwsze plemiona słowiańskie. Tak, jak wtedy gotowa stać się osią państwa o mocnych geopolitycznych podstawach, o rozsądnym kształcie i wielkiej przyszłości. Ta tylko różnica, że nie trzeba dziś karczować lasów i ciosać belek na domy. Bo samowolny użytkownik — kilkanaście niemieckich pokoleń, opuszczając tę ziemię pozostawił na niej domy i drogi, które są zapłatą za kilkuwiekową dzierżawę. Wystarczy osiąść i pracować.

Jest zmierzch. Chmura dymu nad Wrocławiem zaczyna jaskrawieć — u góry od promieni zachodzącego słońca, na dole od ogni pożarów. Co płonie, nie wiem. Może gmach uniwersyteckiej biblioteki, w której na piętnastowiecznym kodeksie zapisana jest polska pieśń: „Stałać się rzecz wielmi dziwna". Może kiedy walki ustaną, chodzić będziemy po zniszczonym Wrocławiu, jak po cmentarzach Oświęcimia, między popiołami drogich nam bliskich — spalonych kościołów i archiwów. Swastyka przestała być symbolem nowożytnych Niemiec, stał się nim komin krematoryjnego pieca, a Wrocław jest w tej chwili wielkim krematorium zabytków kultury polskiej.

Na przedmieścia Wrocławia wkracza druga jego, a nasza trzecia niepodległość. I wszystko jedno, czy rękopis pieśni ocaleje czy nie, powtarzać będziemy jej pierwsze słowa: „Stałać się rzecz wielmi dziwna". Polska powróciła do Wrocławia.

Nadodrzańska dzielnica Wrocławia

JERZY PUTRAMENT

Poprawki historyczne *)

1. Było ich sześciu

Ciekawe, jak ludzie szybko i łatwo zapominają szczegółów! Minęła pierwsza dopiero rocznica Kościuszkowców, ukazało się na ten temat zaledwie kilka artykulików, a już trzeba „uściślać" i prostować.

Pewnego, pięknego dnia majowego wyruszyła z Moskwy pierwsza grupa ludzi, którzy zapoczątkowali tworzenie dywizji. Otóż na temat tej wyprawy napisano już teraz kilka nieścisłości.

Ilu ich było?

Jedno ze źródeł powiada — kilku. Inne kategorycznie stwierdza: dwunastu. Pierwszy wariant jest ogólnikowy, drugi nieścisły.

Gdzie indziej mówi się, że jechali **ciężarówkami.** Znowu nieścisłość!

Niewyjaśniona jest data tej wyprawy. Jedni zapewniają, że 13-tego, inni — 14-go maja. Jakże było naprawdę?

Osobom, pozbawionym wyobraźni, sprawy te wydadzą się błahe. Ale tak nie jest. W naszym, zamiłowanym w historiografii narodzie, wystarczy popełnić jeden drobny błędzik, by całe pokolenia zezowatych i łysawych historyków uczepiły się go, z fatalną nieuniknionością kładąc jego właśnie za kamień węgielny rozlicznych, podniosłych monografij.

Na podstawie tych trzech danych przyszły oficjalny powieściopisarz mógłby stworzyć taki np. dostojny obraz: „Oczy, natchnione świadomością misji dziejowej, patrzyły chmurnie, lecz nieugięcie w dal. Mieli czoła dumnie wzniesione, usta zaciśnięte twardo, dłonie zwarte w pięści.

A było ich dwunastu.

Dwunastu...

Wąż samochodów sunął ku południo-wschodowi.

Działo się w Moskwie, 14-go maja 1943 roku."

Ani słowa, obraz jest reprezentacyjny i niepozbawiony swoistego wdzięku. Bardzo dokładnie za to pozbawiony ścisłości.

Więc najpierw: „Było ich..." sześciu. I była jedna ciężarówka. Dosyć rozklekotana, jak się później okazało. I działo się 13 maja.

Ale niech się nie chwyta za notes historyk. Dywizja „zaczęła się" nie 13-go, jakby dyktował zdrowy rozsądek.

Z Moskwy wyjechano 13-go. Ale do „miejsca postoju" przyjechano 14-go. Wyprawa, która dźwigała na sobie tak ważną misję dziejową, na całą dobę zawieruszyła się gdzieś „w niezmierzonych równinach rosyjskich."

Jak to się stało? Wnikliwe umysły badaczy niewątpliwie w swoim czasie (za jakieś głupie 100—150 lat) rozszyfrują tę ciemną lukę w dziejach Dywizji Kościuszkowskiej. Będzie to dla nich tym łatwiejsze, że już żadnego z „naocznych świadków" przy życiu nie zastaną i nikt ich teoriom nic zarzucić nie potrafi.

Jako jeden z tych „naocznych" postanowiłem jednak ubiec przyszłych historiografów i pozostawić pisemny opis pierwszych dwóch dni istnienia dywizji.

Jak wszystko na świecie, zaczęło się od... czekania. Przyszedłem pierwszy, spóźniwszy się zaledwie o jakieś 10—15 minut, co, jak wiadomo, nic nie znaczy wobec wieczności. Jakiś czas spacerowałem przed imponującą fasadą hotelu „Moskwa". Potem przyszło jeszcze dwóch. Potem jeden. Potem jeden z tych dwóch odszedł. Potem przyszła maszyna (do której, jak mówiłem, niektórzy z historyków odnoszą się z takim szacunkiem, że mówią o niej w liczbie mnogiej — jest to tzw. pluralis majestaticus). Potem jeszcze jeden. Potem okazało się, że maszyna czegoś zapomniała. Potem przyszło dwóch, ale trzech poprzednich odeszło. Potem, potem, potem... Potem przyszli wszyscy i nawet maszyna i mimo to czekaliśmy na coś jeszcze z godzinę.

W ten sposób historia spóźniła się o cztery godziny. Było to w tym wypadku jej pierwsze, ale nie ostatnie spóźnienie. Twórcą następnego okazał się szofer.

A zapowiadało się wszystko tak gładko. Słońce świeciło, był rzeźki wiaterek, szosa gładka, robota przed nami porywająca — i nie było rady — trzeba było śpiewać. Ledwośmy wybrnęli z długawych przedmieść, jak ryknięto: „Wojenko, wojenko!" i „Jak to na wojence ładnie". Nie powiem, żeby głosy nasze i słuchy dorównywały ważności chwili. Wprost przeciwnie, nie dorównywały tak dalece, że najmuzykalniejszy z nas wpadł na pomysł i oświadczył, „że dowódca tej piosenki nie lubi." I chociaż dowódcy nie było wtedy z nami — urwaliśmy i zajęliśmy się czym innym.

Na tej ciężarówce, należącej do pospolitej rodziny zoologicznej „połutorek" czyli „gazików", siedziało nas pięciu. Szósty, ppłk. B. siedział obok szofera, był zresztą naszym szefem i dlatego nie podlega mojej literackiej jurysdykcji. Za to poczuwam się do obowiązku przekazania potomności portretów pozostałej czwórki.

Jasio K. był chudym, wysokim, białorzęsym blondynem, o wyjątkowo nawet jak na Słowianina zadartym nosku. Był on osobliwie zgarbiony. Ja też się (niestety) garbię, ale garbię się po ludzku, od szyi. Jasio garbił się już gdzieś od krzyża. Wyglądał jak dość tandentny scyzoryk, który właśnie namyślił się zamknąć. Sądzę, że to garbienie się pozostawało w bezpośrednim związku z jego nosem. Mianowicie, nie chciał pewnie, żeby go uważano za zarozumialca, który „zadziera nosa" i gwałtownym pochyleniem tułowia usiłował nadrobić nadprzyrodzone wzniesienie nosa. Miał poza tym brózdeczkę w podbródku, która tej części jego twarzy nadawała sens prawie nieprzyzwoity.

Bolek D. miał dziwną twarz. Był też wysoki, ale tęższy, czarnooki brunet, o wybitnej, choć nieco negroidalnej urodzie. Był wesoły. Ale chwilami nawiedzały go przystępy zniechęcenia i apatii.

Jeśli ta para była wesoła i ożywiona — to następna należała do niezbędnej u ludzi odmiany reprezentacyjnej. Ciekawe, że skłonność do reprezentacji na ogół jest odwrotnie proporcjonalna do wzrostu. Im człowiek jest niższy, tym większą wagę przywiązuje do wyboru odpowiednich min, póz i intonacyj głosu. Marian N., który miał wrodzone poczucie dobrego ułożenia twarzy, przyszedł na tę wyprawę po ciężkiej, choć ważnej robocie nocnej. (Tylko Bolek D. i ja wiemy co to była za robota!). Praca ta nadała jego twarzy połysk niemal ministerialny. Wiedział o tym i by spotęgować imponujące wrażenie, przyciskał podbródek do szyi. W ten sposób powstawały wytworne, reprezentacyjne fałdy skóry, pięknie obramujące jego twarz o lirycznie głębokich, ciemno-niebieskich oczach.

Jeszcze bardziej (o ile to jest możliwe) reprezentacyjny był czwarty, Zygmunt M. Rzadko się odzywał i na wszystkie tematy, poruszane w nieco chaotyczny sposób w ciężarówce, odpowiadał znaczącym stroszeniem rudawych, kłujących wąsów. Miał silnie podbite oczy i bladą, w żółtawe plamy karnację skóry.

Ostatni — to byłem ja. Jak wiadomo, odznaczam się nieco przesadną powagą, która na wielu robi wrażenie surowości. Ale o mnie potem.

Tak więc jechaliśmy, rozpromienieni, bodaj czy nie szczęśliwi. Śmigały obok wioski, pola, laski. Przeskoczyliśmy przez miasteczko, gdzie naszą uwagę zwrócił gipsowy monument Marksa o bujnie rozbudowanej brodzie. Powiedziałem, że przeskoczyliśmy. Ale — nie mów hop! Nie przeskoczyliśmy. Coś się zacięło w maszynie i szofer jakieś błahe dwie godziny majstrował z uporem w motorze.

Zaślepieni, nie zwróciliśmy uwagi na ten — niewątpliwie — omen losu. Ruszyliśmy dalej, ale po dziesięciu kilometrach znowu jazda się urwała. Zwolna słońce zaczęło nas oskrzydlać, wychodzić na tyły. Jeszcze starczyło nam gazu, żeby przeskoczyć przez czystą i gładką Kołomnę. Ale wyścig „gazika" ze słońcem skończył się dla tego pierwszego klęską.

Jakieś fatum, ucieleśnione w szoferze, sprzysięgło się, żeby przesunąć początek dywizji o jeden dzień. Może historia także nie lubi trzynastek?

Przenocowaliśmy w jakiejś na dwa kilometry rozciągniętej wiosce. Był niebywały księżyc i zanim zasnąłem, szwendałem się szosą, obsadzoną wysokimi brzozami. Gdzieś, daleko, śpiewano, gdzieś grała harmonia. Piętnastoletni chłopcy z manierami dorosłych kawalerów spacerowali z dziewuchami, które udawały, że nie widzą przysłowiowego „mleka na wąsach" swoich partnerów. Zdaje się, że śpiewał jakiś słowik.

Ranek był słoneczny. Natchnęło to nas niewiadomo dlaczego pewnością, że za dwie godziny pokonamy pozostałe nam jeszcze pięćdziesiąt kilometrów opornej przestrzeni. Ruszyliśmy ze śpiewem. Szofer także wpadł w dobry humor i zaczął finiszować. Szosa była świetna. Wszystko dokoła nas uciekało pośpiesznie w tył.

Trwało to godzinę, pięć kwadransów... Gdzieś na kilkanaście kilometrów od Riazania trzeba było skręcić z szosy na lewo. Ale rozpęd szofera był tak wielki, żeśmy się ani obejrzeli, jak przed nami zaczęły wyrastać przedmieścia Riazania. Rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Jedni twierdzili, że dawno minęliśmy naszą drogę, inni wyczekująco proponowali jeszcze kawałek podjechać. Ponieważ dla przeprowadzenia dyskusji szofer maszyny nie zatrzymał, górą okazali się ci „inni". Jechaliśmy dalej, wykłócając się zawzięcie, aż wreszcie przed naszymi oczami ukazały się wysokie budynki śródmieścia. Dyskusja była skończona. Zawrócono. Szofer, poczuwając się do winy, drogę powrotną odbył również w ostrym tempie. Może z rozpędu znowu przeskoczyłby miejsce zjazdu z szosy, gdyby...

Gdyby nie stało się to, co zawsze się dzieje z samochodami: zabrakło benzyny. Ostatkiem sił, słaniając się na prawo i na lewo jak wygłodzony do reszty człowiek, maszyna dowlokła się do jakiejś grupy zabudowań o kilometr od szosy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności okazało się to lotniskiem. Szofer wziął wiadro i poszedł żebrać o kromkę chleba samochodowego: o parę łyków benzyny. Gęsto się tłumaczył — że miał dość, by zajechać na miejsce, ale fatum chciało, że przeskoczył z rozpędem miejsce skrętu i zrobił o kilkadziesiąt kilometrów za dużo.

Jakieś błahe półtorej godziny przewlokły się w oczekiwaniu jego powrotu. Leżeliśmy na trawie przydrożnej. Już nikt nie śpiewał. Dwaj weselsi i wyżsi zaczęli się kłócić na temat służenia do mszy: obaj kiedyś pełnili tę funkcję. Dwaj niżsi i „reprezentacyjniejsi" niebawem się przyłączyli do sporu: też się w swoim czasie tym zajmowali. Nieszczęścia, które tak gęsto nas tu spotykały, wpłynęły w osobliwy sposób na ich ustosunkowanie się do szczegółów kościelnego rytuału: mianowicie bardzo zaostrzyły przebieg dyskusji. Kiedy ten, czy ów mówił, że w tym a w tym momencie ministrant stoi tam a tam, inni sprzeczali się z nim z nieoczekiwaną furią, dowodząc czegoś wprost przeciwnego. Niebawem wkroczono w najniebezpieczniejsze stadium każdego sporu — stadium uogólnień. Kiedy usłyszałem pierwsze: „ty zawsze"... i „ty nigdy...", przezornie wstałem i zająłem wygodne stanowisko obserwacyjne za maszyną. Szczęśliwie w tym momencie nowy argument spór rozstrzygnął: zjawił się szofer z pełnym wiadrem smakowitej, tłustej jak przedwojenny kapuśniak, benzyny.

Wszyscy rzucili się na maszynę z takim pośpiechem, jakby się bali, że szofer ich nie zabierze.

Szofer wlał benzynę, siadł, dał sygnał odjazdu i nacisnął starter. Potem nacisnął powtórnie. Potem jeszcze raz. Potem jeszcze jakieś sto czterdzieści siedem razy. Nie wywarło to żadnego widocznego wpływu na maszynę, która ciągle w nieco kontemplacyjnej postawie stała na zboczu drogi. Po jakichś błahych dwóch godzinkach najbardziej niecierpliwy z nas (nie powiem kto, sami się domyślcie) zeskoczył z maszyny i zaczął kląć. Inni ciągle się bali schodzić; a nuż szofer jednak ruszy i ich tu porzuci? Dopiero gdy praca nad zdemontowaniem maszyny, którą szofer rozpoczął, posunęła się tak daleko, że przy drodze znalazła się cała przenośna wystawa części motoru, jeden po drugim zaczęli zeskakiwać także. Otoczono szofera z niepokojem i z nadzieją, szukając jego wzroku, żeby jak u lekarza, stojącego przy łożu ciężko chorej znakomitości, wyczytać w źrenicach odpowiedź na pytanie, decydujące o naszych losach: ile dni jeszcze stać tu będziemy?

Było to pytanie bardzo zasadnicze, jedzenia mieliśmy na jakieś dwa — trzy dni zaledwie. Poza tym żaden z nas nie był przygotowany na spotkanie surowej zimy rosyjskiej, a z ruchów i z luźnych uwag (głównie na tematy tzw. matriarchalnie) rzucanych przez szofera wynikało, że i ta najstraszniejsza perspektywa nie jest bynajmniej wykluczona. Jakby na potwierdzenie powyższego nagle się oziębiło, nudna, przydługa chmura wylazła gdzieś z północy i zaczął padać deszczyk. Najłatwowierniejszy ze wszystkich (znowu się domyślcie — kto?) ubrany w lichą marynarkę, gumowe pantofle i niegdyś bujną czuprynę, zaczął dyskretnie szczękać zębami. Widmo losów armii Napoleona zjawiło się przy nas i kościstą dłonią wskazało nam ziemię.

Po nowej godzince cierpliwość nasza zaczęła się wyczerpywać. Odeszliśmy od szofera i gorączkowo zaczęliśmy się naradzać. Po półgodzinnej, właściwej wszystkim Słowianom wymianie zdań — kto z nas jest winny? — i po ustaleniu — że nie wiadomo, — doszliśmy do wniosku, że szoferowi trzeba pomóc. Kto się zna na maszynach? Okazało się, że nikt, co było do przewidzenia biorąc pod uwagę niewłaściwy kierunek wychowania młodzieży w Polsce, gdzie tak mało uwagi poświęcano motorom i w ogóle technice. Pomówiono trochę i na ten temat. Potem zaczęto badać wszystkich ponownie, czy ktoś jednak z techniką się nie stykał. Nie, nikt się nie stykał. Najbliżej spokrewniony z samochodami okazał się rudowąsy Zygmunt M., który kiedyś tłumaczył popularną broszurkę dla młodzieży o wynalazcy lokomotywy Stephensonie. Wprawdzie lokomotywa do samochodu ma się tak mniej więcej jak bawół amerykański do indyjskiego tapira, ale nie było rady. Okrzyknęliśmy chórem, że to najzupełniej wystarcza. M. podszedł do maszyny i, — dziwna rzecz, jak bardzo zaufanie mas podnosi wartość człowieka! — zaczął wydawać rozkazy z pewnością siebie i znajomością rzeczy, która nam się wydała nieomal nadprzyrodzona. Przede wszystkim zaprzągnął nas wszystkich do roboty. Mnie — jako najdalszemu od techniki — wyznaczył ściśle fizyczną pracę: kręcenie korbą. Nie wiem, po co mu było to potrzebne, zważywszy, że motor był, jak się rzekło, zdemontowany. Niemniej kręciłem tą korbą, aż mi w oczach zaczęły bzykać złote muszki znużenia. M. pochlebnie ocenił moją pracę. poczem kazał szoferowi zmontować motor z powrotem. Trwało to jeszcze godzinę. Ze zrodzoną nagle nadzieją obserwowaliśmy te czynności. Ku naszemu podziwowi szofer wszystko złożył jak się należy i nic nie zgubił. M. popatrzył na motor i orzekł, że wszystko w porządku. Możemy jechać.

Wszyscy w pośpiechu znowu rzucili się do maszyny. Szofer siadł, dał sygnał odjazdu i nacisnął starter. Potem nacisnął jeszcze jakieś sto osiemdziesiąt osiem razy. Maszyna odniosła się do tego z podziwu godnym spokojem. Na nasze oburzone spojrzenia M. rozłożył ręce, przyznając, że stała się w tym wypadku rzecz, odnosząca się już nie do techniki, lecz raczej do metafizyki.

Znowu zleźliśmy na ziemię. Zaczęły się szybko rodzić niepożądane nastroje. Ziarno zniechęcenia, kiełkujące w ciemniach duszy jednego, rosło szybko, stawało się parzącą pokrzywą niepewności politycznej i stopniowo zarażało resztę. Ktoś upadł tak nisko, że wysuwał haniebną myśl, żeby pójść na piechotę. Ktoś proponował telefonować o ratunek do Moskwy. Większość ponuro patrzyła w ziemię.

I jak zawsze się dzieje w przyzwoitych tragediach i państwowotwórczych romansach, w momencie ostatecznej depresji zrodziła się myśl, która... Ale nie uprzedzajmy wypadków, zwłaszcza, że ciągnęły się one jeszcze dwie godziny. Szofer poszedł na lotnisko po mechanika. Nie powiem, żebyśmy się czegoś po nim spodziewali: zbyt głęboko los nas doświadczył. Siedzieliśmy w absolutnej apatii, nawet byli ministranci nie kłócili się już ze sobą.

Wreszcie zjawiła się jakaś wymorusana sylwetka. Podszedł do motoru — i — wierzcie lub nie, jak chcecie — niczego nie odkręcał, niczego nawet nie dotknął. Po prostu dmuchnął!

I motor natychmiast zagrał słodką pieśń motoryzacji i życia.

Graniczyło to z metafizyką. Mechanik uśmiechnął się na nasze entuzjastyczne okrzyki i skromnie powiedział, że w motorze zatkała się po prostu jakaś rurka i trzeba ją było przedmuchać. Unoszeni w dal przywróconą cudownie do życia „połutorką", długo żegnaliśmy go powiewaniem chustek i szalików.

O szczęście ruchu! O radości kurzu szosowego! Słońce — i to zareagowało na to w zwykły dla siebie sposób — ukazało się znowu już niedaleko od horyzontu i błogosławiło nam w naszej drodze i robocie aż do końca swego wojennego, czternastogodzinnego urzędowania.

Jeszcze godzinę chyba trwała podróż. Skręciliśmy wreszcie z szosy. Licha, piaszczysta droga doprowadziła nas do wsi, leżącej na skraju stromego urwiska. Karkołomny zjazd i jesteśmy nad rzeką. Za nią sosnowe lasy i jakieś domki. To tutaj.

Ci, którzy potem tysiącami te lasy zaludnili, którzy zbudowali w nich rozgrzane od słońca, przesycone żywicą namioty, nie wyobrażają sobie nawet, jak cicho było tam pierwszego dnia dywizji. Po prostu tak się przyzwyczaili do atmosfery życia obozowego, złożonej z dalekiej strzelaniny, dziesiątka pieśni, dolatujących z kilku stron naraz, pospiesznego sapania samochodów, rżenia koni, urywków komend, że szum sosen zahaczonych przez przypadkowy, nieuważny wiaterek — ten szum — i nic poza tym — to się u nich może kojarzyć ze wszystkimi innymi lasami świata, ale nie z tym jednym, sieleckim.

Błądziliśmy pod wysokimi, cienkimi sosnami, odkrywając domki mieszkalne, duże hale, jakiś opuszczony przed rokiem teatr letni, całe osiedle bez żywej duszy. Zeschłe igliwie szemrało pod nogami, mięsiste roślinki, zamiłowane w tutejszym, sypkim piaseczku, tworzyły rozległe kolonie na osypiskach, dwie lub trzy wczesne dziewanny rozwijały właśnie ognisto-żółte kielichy.

Było cicho i pięknie. Ale to opuszczone miasto nastrajało na jakiś nieokreślony smutek. Wyniosły las, szeroka rzeka, puste domki, wolne i wonne powietrze — prosiły się o ludzi.

Wieczorem napadły na nas komary. Zrodził się wtedy pierwszy sielecki wynalazek: kadzidło. Brało się puszkę po „drugim froncie" (tak się nazywało w 42 i 43 roku amerykańskie konserwy), dziurkowało się ją gęsto gwoździem, przywiązywało sznurek i kładło się wewnątrz smoliste szyszki sosnowe. Energicznie wymachując tym kadziłem, po paru minutach doprowadzało się do lokalu taką ilość dymu, że dalsze w nim przebywanie połączone było dla człowieka z płaczem i kaszlem. Komary, bezpośredni adresaci tego wynalazku, odnosiły się do niego dość obojętnie.

Przyszła noc, zza kępy drzew wylazł umajony księżyc. Wyszliśmy przed dom, gdzie znajdował się potem sztab dywizji.

Podjechał samochód osobowy, światła rozbłysły i zaraz zgasły. Jakaś wysoka sylwetka zbliżała się ku nam. Przyjechał dowódca.

2. Bronzownicy

W jednym z rocznicowych artykulików znalazłem zdanie, które mną wstrząsnęło: „Poeta-porucznik organizował piekarnię." Takie jedno zdańko, rzucone na pastwę czasu i przemyślnych historiografów, po paru wiekach gotowe jest wyrosnąć w obszerny, jak sekwoja kalifornijska wybujały mit. Oczywiście dogrzebią się kiedyś i rozszyfrują taki enigmatyczny zrost poety z porucznikiem, dowiedzą się kto to był i zaczną potem pisać różne hocki-klocki. Ten „poeta-porucznik" gotów jest kiedyś zaawansować na patrona, dajmy na to „Związku Byłych Piekarzy Wojskowych", albo czegoś jeszcze bardziej wzniosłego.

Z drugiej strony, w biografii wyżej wspomnianego „poety-porucznika" znajdzie się pewnie niewielki (na czterdzieści stronic petitu) rozdziałek, opisujący tę właśnie, mało znaną dotąd stronę jego życia. Ktoś pomysłowy zacznie i w jego twórczości doszukiwać się wpływu piekarni i łączyć tę czy inną metaforę z techniką wyrabiania chleba i fenomenologią rozczynu.

*) W drugą rocznicę powstania Dywizji im. T. Kościuszki.

Zanim ten mit rozwinie się i opierzy, spróbujmy go zgasić. Jestem powołany do tego bardziej od innych, albowiem owego „poetę-porucznika" znałem od dawna, co przyszło mi tym łatwiej, że to ja właśnie nim byłem.

Od piętnastu miesięcy pisywałem artykuły i przeglądy sytuacji na froncie. Diabli wiedzą dlaczego, wyrobiło to we mnie przekonanie, że w gruncie rzeczy drzemie we mnie jakiś wybitny talent strategiczny. Kiedy zaczęto tworzyć dywizję, ucieszyłem się niezmiernie i zdecydowałem, że teraz właśnie talent ten wypłynie na wierzch. Pierwszej nocy śniły mi się różne krwawe historie, gdy Niemcy atakowali prawe i lewe skrzydła naszej jeszcze nie istniejącej dywizji, ja zaś dokonywałem śmiałych manewrów, ratowałem sytuację, a w decydującej chwili sam wiodłem do ataku piechotę. Nieszkodliwe to były sny, ale okrutne. Albowiem zbyt gwałtownie obalone przez tzw. „rzeczywistość".

Dywizja wtedy była jeszcze strasznie „cywilna". Mieszkaliśmy w budynku sztabu. Ludzie chodzili bez mundurów. Spotykając dowódcę, nie umiano należycie się zachować. Ale najstraszniejszym cywilem byłem właśnie ja sam. Nie miałem czapki. Marynarka była kusa i wyszarzała. Spodnie uszyto z jakiegoś dzikiego materiału, którego przyzwoici ludzie używają tylko na podszewkę. Nosiłem gumowe pantofle drugiej lub trzeciej młodości.

Co gorsza, rozbolały mnie zęby. Przewiązano mi je jakąś olbrzymią chustą, której dwa wybujałe końce sterczały natrętnie na głowie. Wyobraźcie sobie taką sylwetkę kręcącą się nieustannie koło sztabu dywizji, a zrozumiecie, jakie uczucia musiały się na jej widok rodzić w duszy każdego wojskowego.

Niebawem wszyscy z pierwszej piątki dostali już swój przydział: ten — adiutanta, ów — dowódcy kompanii roboczej, inny — kwatermistrza itd. Tylko ja szwendałem się przy sztabie, obnosząc swoją zapuchniętą i przewiązaną fizjognomię.

Z właściwą sobie bystrością spostrzegłem, że dowódca kilkakrotnie bacznie mi się przyglądał. Jak każdy człowiek, będąc w głębi duszy optymistą, wywnioskowałem, że odkrył on oczywiście talenty wojskowe drzemiące w głębi mej duszy i zastanawia się, w jaki sposób najlepiej je wyzyskać. Chwilami moja wyobraźnia zaczynała pracować tak dumnie, że już się widziałem... szefem sztabu. Dlatego, gdy pewnego pięknego dnia dowódca wezwał mnie, stawiłem się u niego pełen nadziei i radości.

Początek rozmowy nie dementował tych oczekiwań. Dowódca w paru zdaniach zapowiedział, że w najbliższych dniach przyjdzie tu kilka tysięcy ludzi i że w ogóle dywizja to potężny mechanizm.

— Tak jest! — potwierdziłem z zapałem. Chciałem już dodać, że postaram się temu podołać.

— Otóż — ciągnął — zamierzam dać wam odpowiedzialną i bardzo ważną pracę...

— Tak jest! — wrzasnąłem służbiście.

— mianowicie, musicie zabrać się do piekarni...

Odruchowo westchnąłem. Ludzie, gwałtownie spadający z góry na dół (na przykład: spadochroniarze lub pasażerowie windy), miewają zazwyczaj takie odruchy.

Dowódca zobaczył piorunujące wrażenie, jakie na mnie zrobiła ta perspektywa i jeszcze przez parę minut tłumaczył mi, że piekarnia — to bardzo ważny szczegół dywizji. Że bez chleba nie ma żołnierza, to też muszę dołożyć starań, by naszą piekarnię doprowadzić do porządku, bo na razie tam jest źle.

— Tak jest! — powiedziałem po raz trzeci, ale to „tak jest" miało już zupełnie inny sens, niż dwa poprzednie. Zrobiłem „w tył zwrot" i poszedłem.

Dotarłem do budynku piekarni. Był to duży, przysadzisty barak, położony o kilkaset metrów od sztabu. Stanąłem przed jakimś zakurzonym oknem i ujrzałem swoją twarz. Błyskawica domysłu przeszła mi przez głowę. Piekarnia jest miejscem zesłania. Jest dostatecznie daleko, by gwarantować, że człowiek, który tu pracuje, nie będzie się nawijał na oczy oficerom sztabowym. A patrząc na swoje odbicie w zakurzonej szybie, mimo całej życzliwości, którą miałem dla siebie samego, musiałem się zgodzić, że ten widok niewątpliwie musi deprymować nawet przyzwyczajonych do wszystkiego weteranów wojennych.

Westchnąłem. Straszliwy upadek był faktem dokonanym. Moje talenty strategiczne odtrącono. Ta katastrofa zniechęciła mnie do wszystkiego z życiem na czele. Ale gdy to sobie uprzytomniłem, natychmiast zaczął pracować instynkt samozachowawczy, który często maskuje się poczuciem obowiązku, ofiarnością itp. wzniosłymi rzeczami. Piekarnia! No, dobrze, będziemy pracować tutaj. Bez chleba nie ma żołnierza — powtórzyłem sobie ten slogan jak magiczne zaklęcie. Poświęcę się tu dla dobra dywizji i Sprawy. Zorganizuję wszystko. Wprawię w ruch. Ludzie będą zdumieni. I może kiedyś sam dowódca, biorąc kromkę chleba przy stole, powie: dobrą mamy piekarnię — i przypomni sobie tego, który ją doprowadził do rozkwitu i zechce go wziąć do wielkiej roboty strategicznej. Ale... będzie za późno. Tu moje marzenia się rozdwoiły. Miałem dwa warianty tego „za późno". Jeden, w stylu dickensowskim: że postąpię jak Czarnecki, który postarał się, że buława hetmańska dosięgła go dopiero na łożu śmierci. Drugi — w stylu „Oniegina". Przynoszą mi rozkaz, powołujący mnie do oddziału operacyjnego armii, a ja dumnie odmawiam i do końca życia pozostaję wśród swoich wiernych piekarzy.

Niezdecydowany jeszcze co do dalszego rozwoju wypadków, przeskoczyłem przez dużą kałużę u drzwi i wszedłem do piekarni, która miała stać się moim Tulonem.

Pachniało tu czymś kwaśnym — zdaje się rozczynem. Trzech ludzi w bieliźnie koloru marcowego śniegu po przejściu burzy piaskowej stało pod oknem. Jeden, z odwiniętymi rękawami, pracowicie tykał pięściami w rzadkie ciasto.

Moje przybycie nie wywarło na nich szczególnego wrażenia. Jeden przerwał na chwilę dłubanie w nosie, popatrzył na mnie i niebawem wrócił do swojej „postawy zasadniczej" — z palcem u nozdrzy.

Nie wiem czemu ten spokój mnie onieśmielił. Podszedłem do nich i grzecznie spytałem, gdzie jest ich starszy.

Nie odpowiedzieli, tylko spojrzeli na mnie ponownie, tym razem z jakimś zdziwieniem. Za to ten czwarty wyciągnął skwapliwie ręce z ciasta, ucieszony, że może przerwać swoją robotę:

— Tam, tam na prawo.

Odprowadził mnie pod drzwi. Wszedłem. W pustym pokoju, przy czymś w rodzaju lady przy ścianie, stał jakiś człowiek i coś pisał.

— Dzień dobry! — powiedziałem na wszelki wypadek.

Nie odpowiedział i nie odwrócił się.

— Czy to wy jesteście tu starszy?

Milczenie. Powtórzyłem pytanie. Jakiś pomruk. Może to było „aha", a może coś wprost przeciwnego. Jeszcze dwie minuty czekałem na jakąś jego reakcję. Bezskutecznie. Odwrócony tyłem do mnie i pochylony nad ladą stał w postawie bardzo zajętej i nieskłonnej bynajmniej do jakiejś konwersacji.

Przez dwie minuty byłem zażenowany. Pierwsza sekunda trzeciej nagle podziała na mnie, jak spłonka na minę.

— Stanąć na baczność! — wrzasnąłem ni stąd, ni z owąd.

Tamten, jak drzwi kopnięte butem, zakręcił się, wyprostował i stanął, patrząc na mnie chytrawymi, szarymi ślepkami. Przemiana była błyskawiczna. Stał przede mną wyszkolony, stary żołnierz. Ale wystarczyło mu zobaczyć tę obwiązaną sylwetkę w podszewkowych spodniach, by jego lewa noga wysunęła się zwolna naprzód i w bok, kolana nonszalancko ugięły, ręce zeszły ze szwów i z napoleońskim gestem spoczęły na piersi, a oczy ze służalczych znów się stały niedbale przymrużone.

— A pan tu czego chce? — zapytał mnie wyniośle.

— Stanąć na baczność! — powiedziałem już bez większego przekonania.

— A niby dlaczego?

— Jestem tu przysłany przez dowódcę dywizji.

To na niego trochę podziałało. Ręce opuścił, nogę trochę podciągnął, przybrał postawę, którą można by było określić i „na baczność" i „na spocznij" — zależnie od dobrej woli. W mojej sytuacji lepiej było oczywiście przyjąć to ustępstwo i nie wymagać narazie więcej.

— Czy wy jesteście tu starszy?

— Jestem kierownikiem piekarni — odpowiedział z naciskiem. — A pan tu czego?

— Dowódca dywizji przysłał mnie tu na kierownika — odpowiedziałem nieostrożnie. Był to fatalny błąd. Spróbujcie zażądać od Stanów Zjednoczonych kanału panamskiego, a od Anglii Indyj, zachowanie się tych mocarstw da wam niejakie wyobrażenie o reakcji mego rozmówcy na to oświadczenie. Pierwsza faza jego działań polegała na ostrej deklaracji.

— W takim razie ja stąd odchodzę! — oświadczył kategorycznie.

— Ależ skąd... — zacząłem.

— Odchodzę! — powtórzył z naciskiem i bez większego związku z powyższą deklaracją opowiedział pokrótce swoją biografię, z której wynikało, że od dziewiątego roku życia pracuje w piekarniach i że ostatnio kierował olbrzymim „chlebozawodem" na tysiąc robotników.

To mnie zupełnie przytłoczyło. Próbowałem sprawę załagodzić.

— Ależ, co znowu. Zostaniecie. Będziecie technicznym kierownikiem...

— Nigdy w życiu! — i znowu przeskoczył: — a pan już pracował w piekarni?

Znalazłem się w kropce. Bąknąłem nieśmiało, że nie, ale mam o tym pewne pojęcie. To ostatnie miało pewne uzasadnienie: przeczytałem kiedyś opowiadanie Gorkiego „Dwudziestu dwóch i jedna", gdzie akcja, jak wiadomo, rozgrywa się też w piekarni.

Moja odpowiedź widać wpłynęła na niego dodatnio. Nabrał do mnie — nie powiem — sympatii — ale pewnej wyrozumiałości. Jeszcze raz mnie zapewnił, że rzuca piekarnię.

— Pokażę panu wszystko, a potem do widzenia!

Trochę mnie to zdenerwowało.

— Jesteście przecież w wojsku!

— Trudno. Niech mnie sądzą! Niech mnie rozstrzelają! — zawołał z patosem. — Ale nie zostanę! Obrzydła mi ta piekarnia. To potworna robota. Wolę kamienie tłuc. Wolę podłogi szorować. Chodźmy! — dorzucił gwałtownie.

Przez pół godziny pokazywał mi swoje państwo. Dziwna to była podróż. Nigdy nie przypuszczałem, że tak niezbędna i pospolita rzecz, jak wypiek chleba, połączona jest z tyloma trudami i nawet śmiertelnymi niebezpieczeństwami.

— Tu się miesi chleb — rzucał mój przewodnik, tykając palcem wielkie koryto.

— Bardzo dobrze zrobione — mówiłem pojednawczo.

— Aha, dobrze! — odpierał z zabójczą ironią. — Ale jaka to praca. Trzeba osiem godzin miesić. Są wypadki, że ludzie konają przy tym. Atak serca! — i łyskał krwiożerczo ślepiami.

— Piec! — komentował dalej, bez większej potrzeby nazywając po imieniu długi szereg ceglanych paszczy.

Odpowiedziałem jakimś komplementem na temat: u was piece są bardzo czyste. To go rozjuszyło.

— A pan wie, że piec to... to... — nie mógł znaleźć określenia. — To cholera! — rzucił wreszcie. — Spróbuj pan napalić w piecu! O polano za dużo — i chleb się spali. O polano za mało — skwaśnieje.

— Ależ chyba już ustalono przeciętną normę...

— Norma! Także mi coś! Inną ilość kaloryj daje drzewo suche, inną mokre. Idź pan, oblicz ile wilgoci w drzewie. A jak się spali, to pod sąd! — wrzasnął. — A jak się nie dopiecze, to... — tym razem melodramatycznie zasyczał — także pod sąd! — i spojrzał przeszywająco na mnie.

Szedłem za nim, coraz bardziej przytłoczony tym skomplikowanym i okrutnym światem. Moja straszliwa ignorancja z każdym krokiem wyraziściej stawała mi przed oczyma. Ilość kaloryj w mokrym drzewie! Rany boskie!

Mój przewodnik był nieubłagany. Nie pozwalał mi ust otworzyć. Każda niewinna aluzja, którą rzucałem, by rozładować ponurą i krwawą atmosferę, stawała się dla niego „strategiczną odskocznią" do nowych bezlitosnych uderzeń na mnie.

— Pogoda... — zacząłem nieśmiało, żeby odetchnąć.

— Pogoda! — przerwał mi. — Niech ją piorun trzaśnie! Jak jest deszcz, to gorzej ciągnie — i znowu chleb się marnuje.

Zamilkłem. Dopiero kończąc zwiedzanie ujrzałem blaszane formy i nieśmiało szepnąłem coś o nich.

Tu zostałem pobity ostatecznie. Okazało się, że form brakuje. Wprawdzie można piec i bez form, ale wtedy przypiek jest mniejszy: tyle a tyle mąki ma dać tyle a tyle chleba.

— Ich (te normy zapewne) nie obchodzi, są formy, czy nie. Dawaj taki przypiek, a nie — to pod sąd. I co robić?

Wróciliśmy do pokoju z ladą. Po tej wycieczce piekarnia zaczęła mi się wydawać rozciągniętą nad przepaścią liną: lada krok i lecisz w dół, wprost w objęcia czyhającego na ciebie sądu. A jakże można się przed tym fatalnym krokiem ustrzec, jeśli jesteś ignorant, wypiek zaś chleba wymaga nielada erudycji. Nawet taka pogoda — i ta ma tu coś do gadania.

Mój rozmówca stanął przy ladzie i znowu wrócił do swego:

— Pokazałem panu wszystko. Teraz niech pan obejmuje piekarnię. Ja zaraz odchodzę.

Ciarki przeszły mi po plecach.

— Jak to zaraz?

— Zwyczajnie. Sporządzimy protokół zdawczo-odbiorczy. Dawno chciałem stąd uciec. Nie chcę wcale iść pod sąd z braku form. Bardzo mi pana szkoda, ale...

— Ależ, proszę pana, niemożliwe. Pan musi zostać choćby na parę dni!

— Nie.

W końcu zgodził się zaczekać do wieczora. Wytargowałem te kilka godzin, jak skazaniec, który chce odwlec chwilę egzekucji. Piekarnia zaczęła mi się wydawać piekłem. Widziałem przed sobą długie lata, wypełnione formami chlebowymi, kwaśniejącym rozczynem i kapryśnymi, jak piękne panie, piecami. Czy jest jakiś ratunek? Boże...

Mój rozmówca dostrzegł wrażenie, jakie zrobiły na mnie jego uwagi na temat wypieku chleba. Z odcieniem życzliwego smutku powiedział:

— Dziwię się panu. Taki młody, życie całe przed panem. Tyle jest w wojsku dobrej roboty. Choćby dział żywnościowy. Albo mundurowy. A pan do piekarni...

To mnie uratowało. Nagle zrozumiałem. Ten poczciwiec wyobraża sobie, że natrętnie się dobijałem u władz przydziału do piekarni i dzięki znajomościom udało mi się to osiągnąć. On zaś widzi we mnie podstępnego rywala, groźnego konkurenta.

Chciało mi się śmiać.

— Słuchajcie, — zawołałem — wam się zdaje, że chciałem tu trafić?

Nieufnie na mnie popatrzył i coś mruknął.

— Człowieku, — ciągnąłem — człowieku... To dla mnie był taki cios...

Nie wierzył. Nie wyobrażał sobie, że jest na świecie ktoś, komu nie smakowałaby spokojna i zamożna egzystencja władcy piekarni, pana na przypieku.

Zrozumiałem to, pojąłem jego rozpaczliwe wysiłki, żeby mnie zniechęcić do pozostania tutaj.

Z nagłą sympatią spojrzałem na to indywiduum. Był dla mnie deską ratunku. Pobiegłem do dowódcy. I chyba nikt nigdy nie wydał temu piekarzowi tak olśniewającej opinii, jak ja wtedy. Przywołałem na pomoc wszystkie zasoby swego krasomówstwa, niespokojnie patrząc w oczy dowódcy — czy odnosi to skutek — opowiadałem pośpiesznie, że w piekarni jest wzorowy porządek, że rządzi nią znakomity specjalista i słowem — ja tam jestem niepotrzebny.

Dowódca patrzył długo na mnie — wreszcie machnął ręką. Było to ułaskawienie.

Taka jest naga prawda.

A bronzownicy z tego zrobią mit: „poeta-porucznik organizował piekarnię".

W siedemdziesiątą piątą rocznicę urodzin Lenina.

Na zdjęciu Lenin i Gorkij w roku 1920

3. Pierwsza anegdota Pierwszej Dywizji

Autor tego mitu sam jest bohaterem pierwszej anegdoty dywizyjnej.

Było to już w parę tygodni potem. Ludzie dostali mundury. Kupy żołnierzy stały się pułkami. I nawet zaczął funkcjonować teatrzyk.

Pierwszy program teatrzyku zaczynał się tak: zbierali się żołnierze, siadali półkolem przed misternie wymalowaną „kurtyną" i gdy się wszystko uciszyło z szeregów nagle rozległ się głos: — gdzie tu teatr? Puście mnie, idę do teatru. Puście mnie, bo się spóźnię!

Z tłumu żołnierzy wybiegał szeregowiec w rozpiętym mundurze, w furażerce włożonej tyłem naprzód i z rozwiązanym owijaczem na lewej nodze. Był to „konferansjer" teatrzyku, wykonujący swoją popularną niegdyś (rok temu) rolę „ofermy".

Rola ta miała wielkie powodzenie. Żołnierze się zaśmiewali i potem powtarzali jego dowcipy przy lada okazji.

Wszystko szło dobrze. Teatrzyk wystąpił w jednym pułku i w drugim, był w czołgach, był u artylerzystów, nawet ponurzy saperzy witali go entuzjastycznie.

Ale pewnego pięknego dnia zawitał on do pułku, gdzie (jak to piszą dbałe o tajemnicę wojskową gazetki dywizyjne) „zastępcą dowódcy do spraw oświatowych był kapitan N". I tu się rozegrała tragedia.

Kapitan N. bardzo był zadowolony ze swego pułku, jak również ze siebie. Wszystko się odbyło w porządku. Żołnierze zajęli wyznaczone sobie miejsca. Nie krzyczeli, nie popychali się. Dowódca pułku zasiadł przy kapitanie N. Był nawet gość ze sztabu dywizji.

I nagle ten uroczysty nastrój pękł. Ktoś z tyłu zaczął na cały głos wrzeszczeć:

— Gdzie tu teatr? Puście mnie...

Kapitanowi N. zamarło serce. W jego pułku, w obecności gościa z dywizji! Jakaś pijacka burda! Wyskoczył czerwony ze złości i skinął na fizylierów.

— Wyprowadzić go!

Fizylierzy ochoczo skoczyli. Biedny konferansjer schwytany przez nich, nie rozumiejąc o co chodzi, zaczął od nowa swoją rolę:

— Puście mnie, puście, bo się spóźnię!...

Ten niespodziewany opór winowajcy doprowadził kapitana N. do furii. Krzyczał teraz na cały głos:

— Wyprowadzić go natychmiast! Skandal! W niezapiętym mundurze. Z rozwiązanym owijaczem... Do paki!

Trzeba było interwencji dyrektora teatru, aby uwolnić konferansjera, wleczonego gwałtownie przez krzepkich fizylierów wprost do kozy.

Ale chociaż popisowa rola została w tym przedstawieniu zerwana, takiego śmiechu i takich oklasków teatrzyk nigdy przedtem, ni potem nie zebrał. Gdy zrozumiano o co chodzi huczna owacja powitała kapitana N., który tak udatnie zastąpił starego wyjadacza rewiowego — konferansjera.

Jeśli sądzicie, że to nieprawda — zapytajcie bohatera tej anegdoty. Mruknie wam coś, chrząknie i bąknie tak, że nic nie zrozumiecie. Ale się przytem zarumieni w sposób, aż nadto wymowny.

Jerzy Putrament

WŁADYSŁAW TATARKIEWICZ

Architektura polska a Niemcy

Przez pięć lat z górą powtarzali Niemcy nieustannie, że wszystko, co jest cenne w dawniejszej kulturze polskiej jest naprawdę ich dziełem. A w szczególności twierdzili to o architekturze: każdy piękniejszy kościół czy stara kamienica były rzekomo zbudowane przez Niemców i noszą piętno niemieckiego ducha. Teraz nareszcie przyszedł czas, by sprostować te twierdzenia. Bo prawdą jest właśnie ich przeciwieństwo.

Jest nawet rzeczą uderzającą, jak mały był — przynajmniej w czasach nowożytnych, w ostatnich 4 i pół stuleciach — udział Niemców w architekturze polskiej, choć Polacy bynajmniej nie unikali architektów cudzoziemskich i chętnie im powierzali budowy. I choć Niemcy byli najbliższymi sąsiadami, których sprowadzać było najłatwiej i których nawet na miejscu, po miastach polskich nie brakło.

W XVI wieku, w dobie Odrodzenia w Polsce budowali bądź Włosi — jak Franciszek Włoch i Berecci, Padovano i Morando i tylu mniej sławnych — bądź też sami Polacy. Tak było zarówno w stolicy, jak na prowincji, zarówno w Koronie, jak na Litwie, zarówno w architekturze kościelnej, jak w świeckiej. Wprawdzie między nazwiskami budowniczych ówczesnych jest parę brzmiących z niemiecka — jak Joba Pretfusa — ale nie ma danych, aby ci się wydatniej architekturze polskiej zasłużyli.

W XVII wieku eliminacja Niemców posunęła się jeszcze dalej. W poprzednim stuleciu ceniono tylko architekturę renesansową, włoską, południową, więc było naturalne, że nie zatrudniano budowniczych pochodzących z krajów północnych i budujących sposobem północnym. Natomiast w XVII wieku miejsce renesansu zajął barok, który był tworem północy nie mniej niż południa. I rzeczywiście zaczęli się zjeżdżać do Polski architekci z krajów północnych. Jeden z nich, Bandarth, rozbudował w pierwszej połowie wieku Kalwarię Zebrzydowską, drugi Tylman z Gammeren, w drugiej połowie był najczynniejszym w Polsce architektem, którego działalność od Warszawy sięgała do Krakowa. Ale pierwszy z nich był Flamandem, drugi Holendrem. Wolano w Polsce sprowadzać architektów z daleka, byle ich nie sprowadzać z Niemiec. Wprawdzie w Warszawie przy budowie pałacu Krasińskich pracował Schlüter, którego Niemcy wielbią jako swego geniusza, ale ten Gdańszczanin był wówczas jeszcze młodym, początkującym artystą, miał przy budowie zadania tylko podrzędne, uczył się dopiero, i więcej polskiej architekturze zawdzięczał niż ona jemu.

W XVIII w. stan rzeczy stał się dla Niemców w Polsce korzystniejszy, bo królami byli Sasi, którzy popierali swych rodaków, obsadzali nimi stanowiska urzędowe. Ale i to zostało bez wpływu, zwłaszcza za Augusta Mocnego sam król nic dla zabudowania Polski nie zrobił. Jeśli był mecenasem sztuki, jak twierdzą Niemcy, to tylko dla swego Drezna. Jego nadworny architekt Pöppelmann robił wprawdzie projekty rozbudowy Zamku warszawskiego, ale — tylko na papierze. Nawet na samej granicy Niemiec, w Wielkopolsce, piękne ówczesne budowle były dziełem Włochów (jak Pompeo Ferrari) lub Polaków, nie Niemców.

Nieco inaczej było za Augusta III. W zrujnowanej Warszawie król nie miał gdzie mieszkać, więc musiał wreszcie odbudować Zamek, a jego minister Brühl na swą rezydencję zmodernizował stary pałac Ossolińskich. Były to dobre projekty drezdeńskiego architekta Knöbla i wprowadzały do Polski nowy typ architektury, mianowicie styl rokokowy w jego saskiej odmianie. W tym samym czasie niemiecki architekt pojawił się w Wilnie, Był to Jan Chrzciciel Glaubitz, twórca wielu pięknych tamtejszych kościołów; a i we Lwowie i jego okolicy pracował architekt niemieckiego pochodzenia, Merderer; w Lubelskim, — w Chełmie, Włodawie, Lubartowie — ciekawe kościoły na owalnym planie projektował Tomasz Rezler; a starosta kaniowski do budowy cerkwi w Poczajowie sprowadził architekta Hoffmanna aż z Wrocławia. Architektów Niemców była tedy wówczas ilość dość pokaźna i wprowadzali oni do architektury polskiej formy zbliżone do niemieckich.

Jednakże ta chwilowa supremacja Niemców była też tylko pozorna. Oto Zamek warszawski został ostatecznie wykończony pod kierownictwem nie Niemca, lecz spolszczonego Włocha Solariego. Najpiękniejsze pałace rokokowe Polski były dziełem nie Niemców lecz — jak Krystynopol — Francuza Rigaud, lub — jak Radzyń — Polaka z włoskiej rodziny J. Fontany. Glaubitz zainicjował istotnie piękny typ ośmnastowiecznego wileńskiego kościoła, ale — najpiękniejsze egzemplarze, kościoły dominikanów i misjonarzy nie on projektował. Rezler, sądząc z typu jego sztuki, pochodził z Moraw, nie z Niemiec. Niemiecki zaś architekt we Lwowie wstydził się widocznie swego pochodzenia, skoro nazwisko swe zmienił na Meretini lub Meretyn. Ostatecznie ówczesna architektura w Polsce miała więcej wzorów morawskich niż niemieckich. Jeśli zaś pewne wzory miała z Drezna, to znów Drezno miało swe wzory z Paryża i ostatecznym źródłem form ówczesnych nie były Niemcy, lecz Francja.

Stanisław August ściągał do Warszawy artystów ze wszystkich krajów — nic więc dziwnego, że znaleźli się między nimi także Niemcy. Ale liczni nie byli, i względne nasilenie wpływów niemieckich za panowania króla Sasa już minęło. Wśród architektów nadwornych Niemcem był tylko jeden, mianowicie Kamsetzer. Ale swego zawodu nauczył się już w Polsce, a potem we Włoszech, gdzie kształcił się za stypendium polskiego króla. Był to Niemiec, który nic z Niemiec do Polski nie przywiózł, a podobnie było i z dwoma innymi ówczesnymi architektami o niemieckim nazwisku. Z nich Jakub Hempel był wykształcony w Rzymie i dawał swym budowlom surowe formy klasyczne bez rysów niemieckich; a zaś Efraim Schröger (zresztą z urodzenia toruńczyk, obywatel Rzeczypospolitej), był całkowicie natchniony przez wzory francuskie i także nic niemieckiego w stylu swym nie posiadał.

Po rozbiorach napłynęła do Polski fala rządowych urzędników budowlanych Niemców: do Warszawy i całych „Prus południowych" z Berlina, a do Krakowa, Lwowa i całej Galicji z Wiednia. Zdawało się, że nieuchronnie opanują budownictwo kraju i położą na nim swe piętno. Ale i to się nie stało. Tylko paru z nich, jak Lessel w Warszawie, odegrało pewną rolę, ale właśnie oni weszli w polskie społeczeństwo, spolonizowali się. Czołowymi zaś architektami byli wówczas Polacy, wychowańcy Stanisława Augusta, jak Jakub Kubicki, twórca warszawskiego Belwederu, Stanisław Zawadzki, czynny najwięcej w Poznańskim, lub Piotr Aigner, dobry Polak, członek Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, autor pracy o zbrojeniu kosynierów z czasów insurekcji, którego Niemcy przez omyłkę czy zachłanność potraktowali jako swego, sławili w swych publikacjach, nazwisko jego nadali podczas ostatniej okupacji jednej z ulic warszawskich.

Przypomniane tu fakty historyczne są zupełnie wyraźnie. Mimo sąsiedztwa, a czasem i nacisku politycznego Niemcy nie odegrali roli w dziejach polskiej architektury. Wyjątek stanowiła tylko część epoki saskiej (1740—60), ale i wtedy rola ich była ograniczona. Wszystko było całkowicie inaczej, niż w złej wierze lub przez nieuctwo twierdzili publicyści i historycy niemieccy, przedstawiając architekturę polską jako dzieło Niemców. Było właśnie inaczej. Jest to fakt nawet zadziwiający wobec sąsiedztwa i naturalnej wymiany poprzez granicę pracowników, — fakt wymagający wytłumaczenia.

Wytłumaczenie jest zasadniczo takie: Polakom nie podobała się architektura niemiecka i nie mieli ochoty przeszczepiać jej do siebie. Odpowiadały im własne proste sposoby budowania, albo też — jeśli chodziło o paradę i wielką sztukę — sposoby włoskie. Tradycja swojska i wzory włoskie to były dwa elementy tej dawnej architektury, do której tak słusznie jesteśmy przywiązani a z której po tylu wojnach i katastrofach dziejowych tak mało, niestety, pozostało śladów.

Polacy XVI czy XVII wieku niechętnie sami budowali, przywykli, że obcy to za nich robią i zajmowali się innymi zawodami, a ten pozostawiali obcym. Jednakże doskonale wiedzieli, że nie chcą, by im budowali Niemcy i po niemiecku. (Podobnie jak Polacy XIX wieku, którzy tyle literatury obcej czytali, nie czytali bez mała wcale niemieckiej). Nie znaczy to, by architektura niemiecka była zła. Znaczy tylko, że Polakom nie odpowiadała. I nie ma prawie śladów ręki niemieckiej w architekturze nowożytnej Polski. Ręka niemiecka umiała tę architekturę tylko niszczyć.

Takie jest wytłumaczenie nieobecności Niemców w sztuce polskiej XVI—XVIII wieków. W XIX w. rzecz była prostsza: Polacy nareszcie przekonali się do tego, by budować sami, tak jak w ogóle po utracie niepodległości nauczyli się żyć samowystarczalnie, nie odwołując się do pomocy cudzoziemców.

Przed tym długo nie budowali sami, brakło grupy społecznej, która by chciała podjąć zawód architekta. Ale nie znaczy to, by nie mieli wpływu na wygląd swych domów czy kościołów. Tylko stronę techniczną pozostawiali obcym majstrom, nie estetyczną. Jest aż nazbyt wiele dowodów, że ci, którzy zamawiali sobie siedziby, sami dysponowali, jak one mają wyglądać. To jedna z przyczyn, dlaczego jest tak mało Niemców i niemieckości w dziejach polskiej architektury. A także przyczyna, że nawet obcy architekci budowali w Polsce inaczej niż we własnych krajach. I że od wieków istnieje nie tylko architektura w Polsce, ale także architektura polska.

JÓZEF SIERADZKI

Między Zachodem a Wschodem

W dziejach naszych XIV wiek nosi wiele cech przełomu. Dokonywały się wtedy rzeczy, które miały dawne początki i zapadła decyzja o dziejowej doniosłości. **Decyzja oznaczała** klęskę. Polska, której główne problemy leżały na początku jej istnienia na zachodzie, cofnęła się przed niemczyzną. Z wielkiego programu Chrobrego pozostały żałosne strzępy. **Traktat wyszehradzki** oznaczał **rezygnację ze Śląska** i zamykał dłuższy proces strat terytorialnych w tej dzielnicy generalną porażką. Drugim ciosem był **traktat kaliski.** Wszystkie dotychczasowe wysiłki, by odzyskać **zagrabione Pomorze,** szły na marne. **Nie pomogły wyroki sądowe,** które raz w Inowrocławiu, drugi raz w Warszawie skazywały Krzyżaków na zwrot zagrabionych ziem i pożytków z nich pobranych, nie dały wyniku zbrojne próby odbicia choć części tego co utracono. Pewien, bardzo zresztą łagodnie zaznaczony stosunek zależności Zakonu od Polski z tytułu Pomorza stanowił kroplę osłody na pełną goryczy czarę, podobnie jak na Śląsku pozostała jeszcze tylko więź organizacji kościelnej. I tu i na Pomorzu **była jednak ludność,** która nie dała się zgnieść i trwała w tradycji przodków i zaciekłym oporze przeciw niemieckim najeźdźcom.

Smutne było saldo pierwszych dziesięciu lat panowania ostatniego Piasta. Odbudowane z trudem za Łokietka państwo cofało się z Zachodu. Równolegle do niepowodzeń nad Odrą i dolną Wisłą przebiegał **ruch na Wschód,** na Ruś Czerwoną, wszczęty już za Łokietka, spotęgowany za jego następcy. Rozpoczęła się **polityka kroczenia po linii mniejszego oporu.** Ale w systemie politycznym Kazimierza Wielkiego sprawy te **nie** były zgoła przesądzone. Przeciwnie, jest wiele dowodów na to, że głównym jego celem było **odzyskanie ziem nieprawnie zabranych, terrarum iniuste ablatarum.** Na zamku krakowskim pieczołowicie piastowano **myśl o powrocie na Śląsk i nad Bałtyk** i przygotowywano się do tego w ciągu długich lat. Temu celowi miało służyć przymierze **z Andegawenami węgierskimi,** przede wszystkim zaś **zbliżenie z Litwą,** równie jak Polska zagrożoną przez zbójecki Zakon. Polityczne początki Grunwaldu tkwią w czasach Łokietka, który wiązał się z Giedyminem, a związek Jadwigi z Jagiełłą pierwowzór miał w małżeństwie Kazimierza z Aldoną.

Bardzo niepokojące dla zakonników teutońskich były plany sukcesyjne w Polsce. Wbrew powszechnie przyjętym i spopularyzowanym przez podręczniki poglądom, nie były one wcale przesądzone na rzecz Andegawenów. Dwór w Budzie miał podstawy do niepokoju i nie mógł żywić pewności, że stronnictwo węgierskie na zamku krakowskim weźmie górę. Bo było tam i drugie stronnictwo, które być może już wtedy myślało o **wprowadzeniu na tron polski młodego Kaźka (Kazimierza), — syna ks. szczecińskiego Bogusława.** Kaźko był wprawdzie politycznie mało utalentowany, ale już koligacja przez siostrę Elżbietę z Karolem IV, któremu została poślubiona, zwraca uwagę na jego osobę i podnosi znaczenie planów z nim związanych. Z natury rzeczy wynika program terytorialny i ogólnopolityczny tego stronnictwa, do którego liczono poważne osobistości z najbliższego otoczenia króla. Wśród nich był może prowodyr grupy, archidiakon gnieźnieński **Janko z Czarnkowa,** podkanclerzy królewski. Sprawa okryta jest tajemnicą, której rąbek został tylko uchylony. Pokłosie dramatu, który rozegrał się napewno około kwestii następstwa, rozsiane jest w kronice Janka, aczkolwiek bardzo niewyraźnie. Sam kronikarz padł ofiarą gry, w której okazał się stroną słabszą. To pewne, że gdy na Węgry przyszła wiadomość o ciężkiej chorobie króla Kazimierza, Ludwik z podejrzanym pośpiechem wysłał poselstwo do Krakowa, niby to **ad compatiendum regi** z dowodami kurtuazyjnego współczucia. Faktycznie szło o położenie ręki na koronie w chwili, gdy ostatni Piast zamknie oczy.

Rewindykacyjne plany króla Kazimierza, jak przygotowania jego do rozprawy z Krzyżakami, spełzły na niczym. Rzecz naturalna, że nie doszły one do głosu za rządów Ludwika, który dostał przydomek Wielkiego, ale od Węgrów, w Polsce bowiem na taki nie zasługiwał. **Program restytucji nie poszedł jednak w zapomnienie.** Postawiono go, jako **jeden z zasadniczych warunków Jagielle.** Należy też mieć na uwadze, że u podstaw umowy z księciem litewskim, leżała stara lecz wciąż świeża sprawa: **sporu polsko-krzyżackiego.**

To czego nie mogła zdziałać osobno Polska ani Litwa, wyrzucenie śmiertelnej zadry z żywego ciała — miało dokonać się **wspólnymi siłami.**

Tak więc w **polityce wschodniej,** wszczętej wtedy i uprawianej z coraz większym rozmachem, **tkwiły elementy polityki zachodniej.** O tyle była ona trafna i zdrowa. Doprowadziła też do poważnych sukcesów, choć rozminęła się oko w oko z zupełnym zwycięstwem. Rok 1410 przyniósł pogrom Krzyżaków, nie starł ich jednak doszczętnie.

Nie tu miejsce na rozstrzyganie przyczyn zmarnowanego zwycięstwa pod Grunwaldem i żałosnych warunków pierwszego pokoju toruńskiego. Również wiele rozważań budzi drugi pokój toruński, zawarty po trzynastoletniej wojnie z Zakonem, prowadzonej przez Polskę **przy żywiołowym poparciu mieszczaństwa w Prusiech i Gdańsku,** ku niechęci stolicy papieskiej i co najmniej części wiernego jej duchowieństwa w Polsce. To pewne, że spadkobiercy Kazimierza Wielkiego okazali się ludźmi małymi. Panowie krakowscy — oni to bowiem chwycili ster spraw w swe ręce — **możnowładzcy** świeccy i duchowni **zbyt zasmakowali w sprawach wschodnich** i to co miało być środkiem do celu, uczynili celem samym. Było to zresztą aż nazbyt uzasadnione. Oto na Rusi otwierały się dla nich rozległe możliwości. Jeszcze Europa zachodnia nie miała złotodajnych terenów zamorskich, o których myśl majaczyła dopiero w niektórych głowach żeglarzy i kupców miast włoskich i portugalsko-hiszpańskich emporiów handlowych. Tu zaś otwierały się już przed magnaterią polską **lenna i maństwa** na Rusi, pachniał czarnoziem Podola i gleba Wołynia, nęciły na Wschodzie bezbrzeżne obszary, na których zmysł **młodej, wzrastającej w siły, zdobywczej klasy społecznej wietrzył fortuny.**

Miarodajne sfery kościelne były skrępowane w stanowisku wobec Zakonu. Wprawdzie dawniejszymi czasy dały one zastęp bezkompromisowych przeciwników „rycerzy Najświętszej Marii Panny", bojowników, którzy grali niemal główną rolę w procesach z Zakonem, ale gdy u króla Kazimierza Jagiellończyka zjawiła się delegacja miast pruskich z Bażyńskim na czele, około Zbigniewa Oleśnickiego zapanowała konsternacja. Chodziło **przecież** o Zakon i to otoczony papieską protekcją. Później zaś nieco kardynał wolał wskazywać umysłom polskim zadania szczytne na innym froncie, wprzęgać rycerstwo polskie w walkę z Turkami w obronie Krzyża i Europy.

Myśl o Zachodzie karlała i zanikała. Przesłoniły ją zupełnie nowe aspekty, które wyrosły z interesów rządzącej Polską warstwy i zaprowadziły państwo daleko na wschód, odrywając je od pierwotnych podstaw i założeń, stanowiących istotę Polski piastowskiej.

Zbłądziwszy na wschodzie, gdzie już w XVII-tym wieku doznała decydującego niepowodzenia, nie umiała zawrócić. Wymagało to gruntowniejszej rewizji politycznego programu, aspiracji i pojęć niż radykalna reforma ustroju, o którą było tak trudno i która przyszła tak późno. Zresztą wznowieniu czynnej polityki zachodniej przez Polskę stały na przeszkodzie fakty nie do odrobienia, głównie umocnienie się i wzrost Prus. Po rozbiorach, w XIX-tym wieku dokonało się w Polsce wiele zmian, lecz ogólnopolityczne aspiracje utrzymały się prawem bezwładności w torach zdawna nakreślonych.

Dopiero dziś, gdy padają Niemcy, które ubędą z systemu politycznego świata i Europy jako mocarstwo i jako jeden z jej podstawowych czynników, spełniają się warunki **powrotu do pierwotnej, piastowskiej koncepcji,** wolnej od zakłóceń z czasów popiastowskich. Jej kanonem była **linia Odry z śląskim skrzydłem na południu i pomorskim na północy,** gdy interwencje na wschodzie miały charakter incydentalny.

Dziejopisarstwo nasze znajdzie dla rewizji wkorzenionych poglądów dość materiału. Dostarczą go i czasy ostatniego Piasta, który zgoła nie zrezygnował z rewindykacji i kozaczyzna i walki z Turkami wraz z wiktorią wiedeńską, nieszczęsne ilustracje doktryny o antemuraculum Christianitatis i napoleońska polityka bastionu na wschodzie, wessana jako dogmat wraz z bonapartyzmem i jej nowoczesne wydanie w okresie powersalskim (Polska bastionem Francji i Zachodu). Musi powstać nowa szkoła historyczna, która zatrze jednostronny obraz stworzony przez stare szkoły.

Zadanie jest trudne, albowiem prawda zbyt jest przesłonięta, a nawet myślenie i emocje z nim związane zbyt głęboko wrosły. Tym pilniejsze jest ono i tym bardziej potrzebna popularyzacja dokonywanej rewizji.

ADAM WAŻYK

Sztorm na Krymie

Fala rośnie od sztormu. Jak wam nie wstyd, drzewa
uchylać się wykrętnie pod wiatrem: nie chcemy
być świadkami, jak morze na piasek wylewa
gorycz piany i żółć, jak się krztusi bełkotem
nieudolnie powtarza słowa nawałnicy
i płacze. Obojętność drzew i piasek niemy
usprawiedliwia moją bezradną niemotę,
w którą zapada widmem rozprysłej kotwicy
wyskok piany, plwocina zdyszanej przestrzeni.
Morze mówić nie umie i tylko sepleni.
Przed tą mową syczącą, wyssaną z powietrza —
i tak już obrażona wyzwiskami wiatru,
młodziutka zieleń, naga i coraz to bledsza,
chce uciekać ze strachu, by sztorm jej nie zatruł,
lecz przykuta do skały ze wstydu omdlewa
i fala klaszcze śmiechem, gdy na brzegu drzewa
spazmują.

1941

Z teki Tadeusza Kulisiewicza

Myśl o wartościach społecznych sztuki, o jej roli w wyrażaniu rzeczywistości narodowej i formowaniu porozumienia między dziełem a odbiorcą — skierowuje uwagę na tych artystów, dla których prawda humanistyczna była zawsze głównym czynnikiem organizującym ich estetyczne doznania. Nim większość polskich plastyków swoją wizją artystyczną ogarnie świat spraw i natur żywych, nim metody nowoczesnego wyzyskiwania waloru barwy i światła zastosuje do integralnych przeżyć człowieka — będziemy doznań ważnych społecznie, przez sztukę wyrażonych, poszukiwali w tych dziełach, których są one organiczną częścią.

Tadeusz Kulisiewicz już w latach 1929—1936 utrwalał w drzeworycie znaną mu prawdę humanistyczną. Podkreślam **już**, gdyż był w swoich dążeniach artystycznych osamotniony. Nie techniką, lecz społecznym charakterem wizji, w której współodczuwanie nędzy ludzkiej i „opuszczenia u rąk" było czynnikiem organizowania deski nie mniej ważnym od rylca, — wyróżniał się cykl „szlembarski" od innych drzeworytów współczesnych. Prace takie jak „Metody", „Metodula", „Dzieci" i „Kołyska", pamiętamy jeszcze dziś tak wyraźnie, że autor ich pozostał w naszej pamięci drzeworytnikiem przede wszystkim. Chociaż już przed wojną opracował cykl rysunków oraz rysunkowy pamiętnik wzruszenia architekturą romańskiej i gotyckiej Francji.

Przez lata wojny T. Kulisiewicz do drzeworytu nie wracał (70 desek, cały dorobek przedwojenny spłonął w Warszawie). Pracował w malarstwie w pełnym tego słowa rozumieniu i posiada w tece prace różnymi technikami tworzone. Rysunki piórem, w efekcie akwafortę przypominające, sangwiną, akwarele.

Rysunki Kulisiewicza uderzają zwartością wyrazu, zwięzłością kompozycji. Inaczej być nie może, jeśli pomyślimy, że powstały po długo uprawianym drzeworycie, który był dobrą szkołą dyscypliny. W rysunkach wyraża się pragnienie ich autora wyjścia na szeroki horyzont malarski.

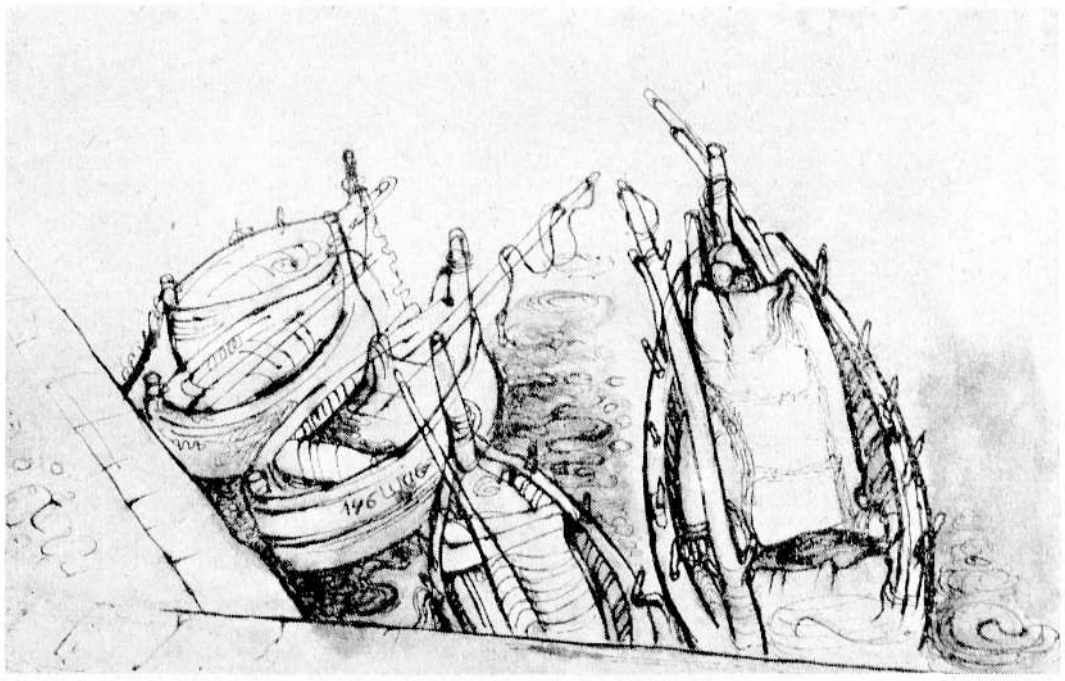

Łodzie rybackie — rysunek (pióro i tusz) — 29×22 cm

Cykl rysunków sangwiną, różniących się odcieniem (sangwina, bistra, sepia i ołówek) organizuje raz jeszcze wizje bliskie tematycznie „Szlembarkowi". Skróty i uproszczenia delikatniejsze niż w drzeworycie. Deformacje postaci nie służą do wyrażenia wiedzy psychologicznej o „modelu", który na rysunku żyje malarskim, a nie graficznym światłem. Ręce i nogi nie opowiadają lecz żyją. Kompozycje sangwiną sprawiają wrażenie fresku, niekiedy mozajki. Tak, jakby były ich ukończonym projektem. Świadczą o możliwościach Kulisiewicza w tym kierunku.

Poza sangwinami „szlembarskimi", Kulisiewicz posiada około 70 rysunków (50 mniejszych i 20 w dużym formacie), stanowiących cykl włoski. Są to w czasie wojny opracowane rysunkowe notatki z podróży do Italii. Rozmaitość techniki bogata. Kreska o różnej grubości, pędzel i pióro. Ponadto zastosowanie tzw. techniki „lawowanej" (tusz, bronz rozcieńczony). Uderzają subtelne efekty świetlne. Widoma jest przestrzeń, powietrze, światło Południa. Kulisiewicz techniką „lawowaną" uzyskuje lekkość, delikatność dotknięć równe akwareli. Tematyka różnorodna: fragmenty architektoniczne, pejzaż, morze.

Rysunki piórem stanowią dział osobny, bogaty tematycznie (akty, szkice portretowe). W akwarelach (lipiec 1944) Kulisiewicz daje wyraz swoim tęsknotom formalnym (także martwe natury).

Reprodukowane prace nie zdają sprawy z rozległości zainteresowań malarskich Kulisiewicza. Są tylko przypomnieniem jego postawy artystycznej, tak bliskiej zapotrzebowaniom społecznym okresu przeżywanego.

Autor „Szlembarku" jest Warszawianinem. Stare Miasto i Powiśle zna tak samo na pamięć, jak ręce Metoduli. Będzie na pewno jednym z tych artystów, co wizję miasta, od którego najbardziej serce boli, najmocniej utrwalą.

Zbigniew Bieńkowski

Pasterki
rysunek (pióro i tusz) — 14×21 cm

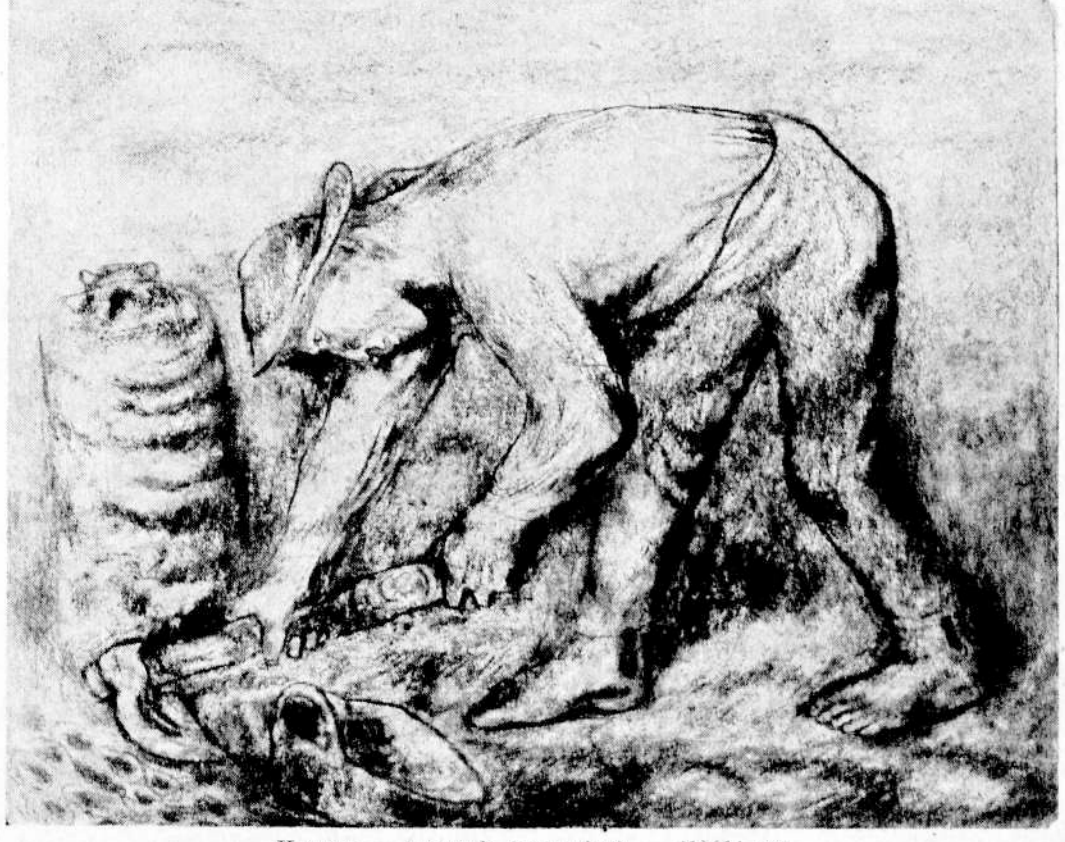

Kopacz — rysunek (sangwina) — 41×34 cm

Kobiety
rysunek (pióro) — 21×25 cm

Dzieci w płachtach
rysunek (pióro i tusz) — 23×24 cm

Kobiety — rysunek (sangwina) — 34×46 cm

Dziewczyna
rysunek (tusz) — 22×29 cm

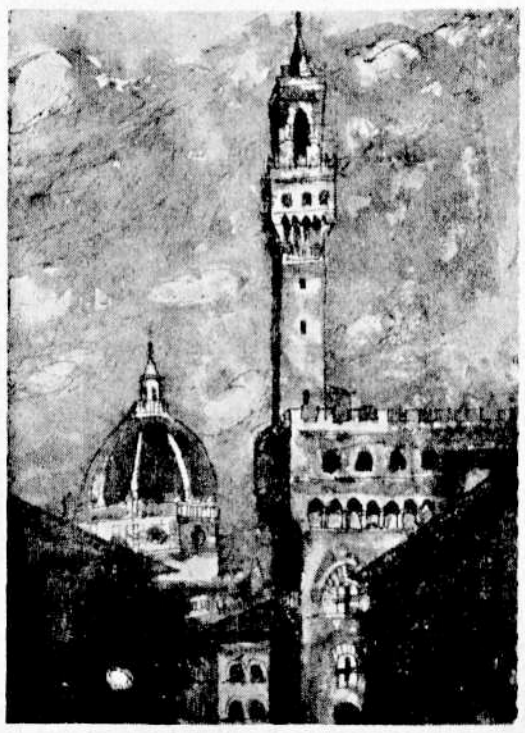

Motyw z Florencji
rysunek (pióro i tusz) — 22×29 cm

Człowiek siedzący
rysunek (pióro i tusz) — 21×26 cm

KAZIMIERZ WYKA

Miecz Syreny

Z nielicznych pomników Warszawy, które ocalały, dwa posiadają szczególną wymowę, równą symbolowi nieledwie. Kiedy pierwszy raz Tamką schodzisz na Wybrzeże Kościuszkowskie, w perspektywie ruin wita cię, przybyszu, sylweta Syreny. Twarzą zwrócona na północ, tarczą osłania się od grozy, staczającej się ku niej Powiślem. Mieczem i Wisłą tnie miasto na dwa miasta tak niesamowicie różne, że tylko ona, zwodnicza i piękna, podobnego cięcia dokonać mogła. Mieczem rzece wskazuje bieg i przyszłość. Kiedy w dzień Wielkiego Piątku spozieram w jej twarz, której ani jedna kula nie dotknęła, gazeciarze biegnący od mostu wywołują zdobycie Gdyni i Gdańska. To Syrena, po wieczne czasy, z samego serca swego tragicznego miasta, dobywa miecz i wbija w ujście rzeki, nad którą czuwa. U jej stóp, wśród potarganego bruku, szczerzy się rów strzelecki i dlatego Syrenie nie wytrącił miecza dynamit kulturträgera. Całe miesiące stała w pierwszej linii frontu i w sposób najbardziej dosłowny była żołnierzem.

Kiedy łuską iskrzy się Wisła w słońcu marcowym nie mogę opędzić się myślom, że tak stała na swoim — wynajdźcie mi lepsze słowo — posterunku, w mgły listopadowe, w mróz i lód skuwający rzekę, że nocami blask reflektorów wydzierał jej kształt z ciemności i żołnierz z brzegu przeciwnego dziwił się tej niesamowitej kobiecie. Nie jestem w stanie zapomnieć, że obok jej cokołu prześlizgiwał się hełm niemiecki i niszczyciel, który zajrzał w jej wyniosłą twarz, jeżeli była w nim resztka człowieczeństwa — musiał zadrżeć. Nie mogę zapomnieć, że jeśli nadejdzie kiedyś okres nowej sztuki symbolicznej, Syrena z Tamki przemówi głosem, jakim posągi Łazienek mówią w „Nocy Listopadowej".

Idźmy dalej. Toboły, szafy, krzesła płyną na most u wylotu Karowej. Brzegu Wisły nie opuszcza rów strzelecki. I z tego rowu wyrasta znów żołnierz spiżowy. Wznosi patetycznie sztandar. Ponieważ jest tylko pomnikiem, wybaczmy mu ten banalny i niewczesny gest. Twarzą zwrócony ku Pradze, szablą przyzywa oddziały swoje. Tym mostem przeszły dawno. Są już w Kołobrzegu, Gdyni, Gdańsku, tam gdzie Syrena wskazała im drogę. Niektórzy pozostali. Żołnierze sowieccy z baterii przeciwlotniczej strzegącej mostu malują hełmy na letnią zieleń. Żołnierze polscy regulują ruch na przedmościu. Wszyscy przyszli stąd, skąd ich przyzywa szabla skierowana ku Pradze.

Powrócimy jeszcze do wymowy tych posągów. Spieszmy dalej, na Nowy Zjazd, na Wybrzeże Gdańskie. Kto pragnie o zniszczeniu Warszawy mieć sąd, jaki nie opuści go do końca życia, niech nie wkracza w ulice, które mu były drogie. Ogarnie go ból lub gorycz, a wszelkie wzruszenia są tutaj nie na miejscu. Temu miastu trzeba patrzeć twardo w wypalone i oślepłe oczy, inaczej niczego nie dostrzeżesz. By tak spojrzeć, należy je widzieć od Wisły.

Miasto każde, widziane z odległości, posiada swój krajobraz. Mury, wieże i kościoły nie zmieniają miejsc w ciągu wieków i kto najlepiej chciał widzieć krajobraz Warszawy od strony Wisły, ten przywoływał pamięcią panoramę stolicy malowaną przez Canaletto. Ja przynajmniej czyniłem tak zawsze. Schodzę z Nowego Zjazdu, zamykam oczy i widzę ją wciąż pamięcią wzroku, nasyconą tym samym precyzyjnym światłem co dzisiaj. Nie chcę podnieść powiek, bo tego krajobrazu, co we mnie bije, nie znam zupełnie. To miasto jest mi obce, tak skończenie obce i inne, jak łańcuch gór, który wyrósł tam, gdziem go nigdy nie oczekiwał. Daremnie w poszarpanej sylwecie tego łańcucha szukać jakiegokolwiek podobieństwa z dawnym krajobrazem Warszawy. Doznaję wrażenia, i to jest najsilniejsze, co wyniosłem z Warszawy, że stoję w obliczu **całkiem nowego i niewidzianego dotąd zjawiska przyrody.**

Kto zniszczenie dokonane w Warszawie będzie chciał interpretować jako dzieło ludzkie, ten nie dotrze do sedna rzeczy. Warszawa stoi na tej granicy, gdzie rozmiar pustoszenia i zła, dostępny człowiekowi, przechodzi w działanie równe siłom przyrody. Przerażenie zaś i groza stąd się biorą, że na Warszawie widać, czym byłyby siły przyrody, gdyby posiadały złośliwość człowieka i systematyczność Niemca, słowem, gdyby prócz potęgi swojej posiadały cechy ludzkie. Niech pozostanie haniebną sławą narodu, który wydał największą ilość filozofów, że to on w czasie swego najgłębszego upadku nie przestał być narodem filozoficznym, ponieważ przesunął wszelkie doświadczone dotąd granice pomiędzy siłą człowieka a siłą przyrody. Ponieważ w sposób filozoficzny a namacalny dowiódł, że tzw. kultura środka Europy posiadała w naszych latach wszelkie elementy samostrawienia i samozniszczenia. Ten dowód filozoficzny, jeżeli o ciałach ludzkich mowa, przeprowadzały piece krematoryjne. Jeżeli o ciało kultury i historii chodzi, preparatem stała się Warszawa.

Na trzęsienie ziemi, powodzie, zgorzeliska, gradobicia, nie reaguje się lamentem. Tym więcej na zjawisko, które przekracza wszelkie podobne katastrofy. Dlatego to w obliczu Warszawy wszelkie wzruszenie jest małostkowe i niewczesne. Z powodzi i trzęsienia ziemi ratuje się co jedynie uratować można i od razu myśli się o planie nowego domu. Stąd nie potępiałbym ryczałtowo tego potoku, co z kilku deskami, ramą od obrazu, ułomkiem krzesła spieszy do mostu, ponieważ ten potok posiada swoją słuszność. Słuszność chłopa, który ze zgorzałej chałupy wyciąga przepaloną miskę i łyżkę i zabija dziury w płocie wokół nieistniejącej sadyby.

W ten nieznany mi krajobraz wchodzę wąwozem, którego nazwę, gdy był ulicą, może znałem. Wkraczając na Stare Miasto, wnikasz w najbardziej patetyczną część Warszawy. Uliczki z pieśni Or-Ota przeorane są do fundamentu i odrzucone jak potworne skiby gruzów. Ciała domów, które sterczą jeszsze, potargane nad wszystko, co słowo jest zdolne wypowiedzieć. Ponieważ wiem, że tutaj był dom Skargi, a tam katedra, widzę je jeszcze, chociaż widzę tylko przestrzeń i obłoki. Ci, którzy nie widzą tego, ci z obcych narodów i ci młodzi, nie ujrzą nigdy.

Gdzieś na Podwalu wiatr przywiewa mi pod nogi papier. Podnoszę i czytam — Paryż, 5. X. 1912. Hotel de Hollande, 18-20, rue de la Paix. Widzę ją teraz, w tym samym powietrzu marcowym, spokojną i żywą rue de la Paix. Tutaj jest inna ulica — ulica polskiego pokoju. Czytam dalej: „Przesyłam panu adres mój w Lozannie (Szwajcaria) proszę o parę słów wiadomości. Przypominam Panu, że komorne za moje mieszkanie Rb 250 trzeba niezwłocznie wpłacić do zarządu dóbr Czartoryskich, Krak. No 7, druga brama na dole. Ach, prawda, czy dużo wysłaliście mebli do Petersburga?"

Obok stoją inne listy. Na resztkach zgorzałych bram Zalewscy, donoszą, że są na Kole. Ktoś szuka Edwarda, ostatni raz go widzieli na barykadzie na Freta. Nie szukaj daleko, nieznany. Polacy mają ten dziwny obyczaj, że dla swoich wielkich ludzi, po ich śmierci, z piasku i gliny sypią z daleka widoczne kopce. Na tym wzgórzu nad Wisłą usypali nad twoim Edwardem i nad przyjaciółmi jego najkosztowniejszy kopiec, jaki zna ich historia. Przemieszali bohaterstwo swoje i lekkomyślność, nierozsądek i ofiarę, zaprawili popiołem bibliotek, a niewiele ich mają, przemieszali rumowiskiem zamków i starych kościołów, a na palcach je liczą, stare cegły skropili krwią, by były czerwieńsze, i oto stąpaj po kopcu, który musi być niekształtny, skoro z takich elementów zbudowany, i szukaj kredą swojego Edwarda.

Najdziwniejszy cmentarz Warszawy jest tutaj, na międzymurzu odsłoniętego przed wojną urywka murów średniowiecznych. Ten ceglasty zygzak, starannie odznaczający po ścianach wpisanych na niego domostw — potąd moje, a za tę wyższą resztę nie odpowiadam, ten zygzak i zakole trwa nienaruszony. Nie pojmuję dlaczego ani jeden z domów, którym przecież było wolno przewracać się na każdą stronę, nie wybrał tego międzymurza. Może bym uniknął widoku spraw, które zawsze sąsiadują w charakterze Polaków — patetyczna szarża i porządna niedbałość nasza. Polegli przeważnie w ostatnich dniach sierpnia. Byli z plutonu czołgów i z plutonów przeciwpancernych. Nie było czołgów, były butelki z benzyną. Pod tamtą trumnę nie kopano dołu. Obsypano ją po prostu ziemią. Teraz deszcze zmyły ziemię, ktoś oderwał deskę, i musisz odwracać oczy.

Było dużo historii w tych ciasnych uliczkach. W tych Piwnych, Nowomiejskich, Kapitulnych. Nie śniły, że taka będzie ich apoteoza, że tak przejdą w historii oklasku, który składa się z bomb, z najcięższych pocisków, z kanonierek plujących od Wisły. Myślę, że skoro już nie ma tych uliczek i rynku trzeba mieć odwagę dalszej konsekwencji. Mówimy o odbudowie Warszawy. Już słyszałem młodego człowieka, że zbudujemy nareszcie szklane domy etc. Niech przeklęte będą chwile słabości wielkich pisarzy, kiedy padają w ich pismach powiedzenia, które na całe pokolenia mącą wyobrażenia ludzi, z szacunkiem podchodzących do wszystkiego, co oni pozostawili.

Mówiąc o odbudowie, polskim obyczajem przeskakujemy parę najbliższych ogniw rzeczywistości. Dzisiaj należy mówić przede wszystkim o zburzeniu Warszawy. Nie tym, które rozpoczęli Niemcy, ale tym, które dokończyć musimy sami. Nim rozpocznie się odbudowa, **Warszawa śródmieścia i Starego Miasta musi być do szczętu zburzona.** Tym szlachetnym maniakom, którzy z rurą od piecyka i kawałkiem dykty uczepili się niespalonego pokoju w trzeciej oficynie na Hożej, trzeba rzec, że ta oficyna też będzie zmieciona, tym razem polskim dynamitem. Na dawnym założeniu urbanistycznym Warszawy niewiele się daje uratować i niewiele uratować warto. Krakowskie Przedmieście, saski rzut miasta z placem Saskim, to chyba wszystko. Z reszty niech zostaną tylko nazwy ulic, i to nie wszystkie, ponieważ ulic powinno być mniej. Prawdopodobnie wkraczam w nieswoje kompetencje, sądzę jednak, że ludzie, którzy odbudowują Warszawę, myślą kategoriami jej zniszczenia a nie jakiegokolwiek, choćby najbardziej cennego, sentymentu wobec przeszłości.

Kategoriami zniszczenia należy przede wszystkim myśleć o Starym Mieście. Tutaj najtrudniej nimi myśleć, tutaj najbardziej mąci sprawę sentyment. Powiem prosto: nie powinno się tych zoranych skib podnosić i na nowo czynić bruzd Świętojańskiej, Dunajów wąskich i szerokich. Wiem, że mnie zakrzyczycie — kult przeszłości, tradycje, Or-Ot, Kiliński, wartość zabytkowa. Wszystko to wiem, ale myślmy kategoriami zniszczenia: czy te wszystkie argumenty istnieją jeszcze, czy jest z nich tylko popiół i wspomnienie? Czy każda odbudowa według takiego schematu nie byłaby pospolitym fałszerstwem? Dla kogo i po co? Pomijam już to, czy stać nas będzie niezliczone miliony wkładać w odtwarzanie ciupek średniowiecznych, legowisk odwiecznej gruźlicy i wenerii, a jeśli tylko fasady domostw uszminkujemy ku przeszłości, cóż za lichy teatr tam, gdzie orała Historia do fundamentów? Jużbym wolał nie tykać tego krajobrazu, obwieść go autostradą, usadzić przy niej restauracje i dancingi, zamówić gwiazdki w przewodnikach, niech wokół ruiny kołują bogacze z Zachodu i zostawiają dolary na odbudowę reszty.

Stoimy ciągle na rynku staromiejskim. Bywa w Warszawie większa cisza, aniżeli tutaj, ale nawet pośród ciszy absolutnej to miasto jest żywe. Pojmuję to niespodziewanie, kiedy pod ocalałą kamienicą Baryczków ludzi, co przytulili się w izbie frontowej, pytam o dalszą drogę. Palcem wskazuje w obłok i powiada: pójdzie pan przez kamienicę, już nie pamiętam dokładnie jak powiedział, później — lecz tej reszty już nie usłyszę. Zatem ta kamienica naprawdę istnieje dla niego na obłoku, zatem on ją widzi i dlatego, że widzi wbrew świadectwu zmysłów, mieszka tutaj. Od tego ruchu pojąłem, jak trzeba rozumieć dzisiaj Warszawę, by dostrzec dlaczego to miasto jednak żyje.

Warszawa jest jak palimpsest. To są te stare pergaminy, z których przed wiekami wymazywano dawny tekst, by wpisać nowy. Dzisiaj uczeni umieją i stary i nowy tekst odczytać. Ziemia tego wysokiego brzegu nad Wisłą musiała być widocznie równie rzadka i cenna, co pergamin, jeżeli tyle tekstów w nią wpisano. U spodu przeziera tekst niesłychanie dawny, chociaż jeszcze rok temu prawie cały był żywy. Warszawa, która handlowała na Placu Żelaznej Bramy, o sztuce plotkowała na Mazowieckiej, interesy grubsze załatwiała na Marszałkowskiej. Z tego tekstu fizycznie nie ma śladu. Żyje on tylko w pamięci ludzi, którzy powracają. Przysypany został warstwą najgrubszą, sprawiającą nieczytelność pozorną — warstwą ruin, pożaru i ran zadanych w walce. To tekst drugi, aktualnie najwidoczniejszy, ale tekst pisany tak opaczną ręką, że zniknie jak zły sen. Bo już na nim, w tych tygodniach wczesnej wiosny, pisze się najbardziej wzruszający tekst trzeci, który też kiedyś przeminie. Na piśmie ruin te tysiące, które wracają do Warszawy, usiłują odtworzyć niedawny, w ich pamięci trwający tekst miasta: wiedzą, że trzeba handlować, plotkować, pić wódkę, żyć. Lecz to pismo wyniesione przez nich spod ruin nakłada się w sposób najbardziej fantastyczny i powichrzony na dzisiejszy plan miasta; jakbyś na rzucie domu piętro nałożył umyślnie koślawo, by kuchnie wypadły tam gdzie salon, a salon zawisł nad pustką.

Tak więc Kercelak, Żelazna Brama i Pociejów przeniosły się pod Dworzec Główny, Poznańską i Nowogrodzką nie sposób się przecisnąć. Tu jest handel drobny i pokątny dzisiejszej Warszawy. Marszałkowska z grubszym interesem, Krakowskie Przedmieście z ministerstwami uciekły daleko, aż na Pragę. Nazywają się dzisiaj Targowa i Wileńska. Wszystkie ministerstwa pomieściły się w jednym gmachu, który dla jednej dyrekcji kolei był podobno za ciasny przed wojną, i dwóch dyrektorów departamentu przyjmuje w jednym pokoju, a kiedy u jednego dyrektora klient siedzi, u drugiego stać musi, bo nie ma drugiego krzesła. Tak je należy ujrzeć, by pojąć, że choć śmiertelnie ranne, miasto jest żywe.

W tym pośpiesznym palimpseście stolicy nie wszystko było konieczne do odtworzenia, by miasto poczęło żyć. Tam gdzie kupowałeś książki i plotkowałeś o sztuce, są sprawy fantastyczne. Pod wieczór jestem na miejscu, które według mojej wiedzy było placem Napoleona. Teraz zryte jest krągłymi lejami, w lejach zbiera się zielona woda i są to doprawdy Zielone Stawki Gąsienicowe z turnią Kościelca zamiast Prudentialu. Pada deszcz, jest ślisko i napotkani mówią półgłosem. W ciszy wąwozu, który był Mazowiecką, gdzieś głęboko pod kamieniami pluszcze woda.

Tyle jest pokładów w palimpseście stolicy. Jest wreszcie tekst ostatni, ledwo jak mgła zapowiedziany paroma objawami. BOS to skrót równie popularny co PIM, IPS przed wojną, Biuro Odbudowy Stolicy. Nie widziałem tego mitu. Jest gdzieś na Chocimskiej, a Mokotów daleko. Natomiast widziałem tory Dworca Wschodniego zatłoczone wagonami, ludzi wynoszących drewniane ścianki i belki fińskich domków. Z tych drewnianych ścianek powstaną po latach perspektywy ulic piękniejszych, niż rue de la Paix.

Patrząc na kobiety za stolikiem z kwasem, oglądając tych mężczyzn, co jakimiś przemyślnymi sposobami z kawałków desek klecą kramy, czytając tę dykty głoszące pod wypalonymi piętrami, że tutaj kawiarnia pod Cylindrem, te cudowne, tylko przez podwarszawskich ogrodników wypielęgnowane kwiaty widząc w kwiaciarniach, które powstały już pośród ruin, — na tę fenomenalną żywotność patrząc, czuję dopiero zmieszany z gniewem żal. Jedyne uczucie, które wolno wypowiedzieć głośno, albowiem dotyczy sprawy nawet od zniszczenia Warszawy donioślejszej. Gdybyśmy siłę przewidywania i rozsądnego spokoju choć w części posiadali tak wielką, jak mamy siłę regeneracji, jakim wielkim bylibyśmy narodem. Lecz my jesteśmy jak człowiek, który już nieraz odrąbywał sobie dłoń i przekonywał się ze zdumieniem, że przeciwnie niż u pozostałych ludzi, dłoń mu odrasta. Nabrał przeto obyczaju, by zawsze dłonie swoje rąbać. Tym razem odrąbał całą rękę. Na pewno odrośnie. Lecz tym razem powiadamy sobie spokojnie: **dosyć.** Więcej już nigdy.

Drewniany most jak aorta tłoczy strumień ludzki z Pragi na Powiśle, z Powiśla na Pragę. Syrena rzeką i mieczem przecięła miasto i jest ono teraz jak człowiek, który miał dwa płuca. Jedno było świetne i pracowało oddechem sprawnym. Drugie płuco ledwo się zauważało — najwyżej powiadając, ach, jaka ta Praga jest brzydka. Dzisiaj płuco świetne zostało wydarte na lata, a miasto żyć musi. Z wysiłkiem potwornym pracuje tym płucem gorszym, dyszy od nadmiaru zadania, wypracować nim musi tkankę regeneracyjną, a przecież samo jest poszarpane wojną. Przecież i tutaj są kościoły o najbardziej fantastycznym zniszczeniu i tutaj dzieci się bawią pomiędzy grobami. Jakże piękna jest Praga Inżynierskich, Białostockich, Otwockich, Praga żywa.

Płuco dyszy wysilone i wszystkiemu podoła Bo serce jest nietknięte, aorta tłoczy strumień ludzki pełen wytrwałości, sprytu, wiary. Krew Warszawy posiada dzisiaj inny skład, aniżeli do czasu powstania. Brak w niej ciałek błękitnych i pod błękitne podpadających. Składa ją lud i urzędnik czuwający nad całością państwa. Ta krew jest surowa i zdrowa. I tutaj, na Pradze, oddaję się jedynemu marzeniu. Widzę, jak to płuco, spełniwszy swoje, pocznie pracować tętnem wolniejszym, jak osłabnie z dokonanego wysiłku i ujrzymy, że było niemniej ranne, a jeśli nie spoczęło, to dlatego, że mu spocząć nie było wolno. Damy mu odpoczynek: tę brzydką, przycupniętą za mostem Kierbedzia Pragę zburzymy sami — z wdzięczności. By za jej pracę regeneracyjną uczynić ją piękniejszą, niż kiedykolwiek była.

Wówczas dopiero wypełni się wymowa posągów, obok których ciągle przechodzimy, wytłoczeni z mostu. Na przecięciu linii, które przedłużają się z miecza żołnierza i z miecza Syreny leży punkt idealny, według którego musi się kierować historia nasza. Syrena mieczem wskazuje morze i północ. Żołnierz od Wschodu przyzywa pomocy i stamtąd ona nadeszła. Tych linii nie ustanowił przypadek, a ich przecięcie nie jest prawdą chwili tylko.

Budując nową Warszawę, nie chcemy byśmy kiedykolwiek powtórzyć musieli o jej kamieniach słowa, którymi żegnamy tragiczny krajobraz stolicy — „z bruku twojego chciałbym mieć kamień, na którym krew i łza nie świecą".

JAN HUSZCZA

LATO 1937

Brzegi złociste, wody jeziora,
gwiazdy świecące letnim wieczorem
i wrzosy lekką deptane stopą —
obce goryczy młodości tropy.

Był chłód w paprociach, cienie i wilgoć,
a dalej giętkie leszczyny bronzem,
malina słodka, pogwizdy wilgi
i potem księżyc jak mag lub bonza.

Łeb jego łysy nad wzgórzem sinym,
nad snem schylony szczawiów i kminów.
Jeśli gdzie żyjesz, wspomnij czas spotkań,
jak ja wspominam pisząc te zwrotki.

ELEGIA IX

Porzucił heban srebro czułe, —
uboższy w piękno, sam się łuła.

Alkohol uciekł z pełnych szklanek,
pokochać kwiaty zapomniano.

A na polewę dzbana złotą
nie spada z okna światła potok.

Boleśnie kształtom. Wielbicieli
popioły dawno śpią w popiele.

STANISŁAW TEISSEYRE

Rola i zadania sztuk plastycznych

Po przeszło pięciu latach okupacji, po najcięższym bodaj okresie, jaki przeżył naród polski w ciągu swego tysiącletniego istnienia — artysta polski wraca znowu do pracy zawodowej. Do pracy zawodowej w pełnym tego słowa znaczeniu. Znaczna bowiem część artystów polskich nie mogąc żyć z twórczości artystycznej, a nie chcąc pracować dla wrogiej propagandy, była zmuszona wziąć się do jakichkolwiek zajęć zabezpieczających utrzymanie i tylko nieliczne chwile mogła dorywczo poświęcić pracy twórczej.

Z tego powodu wychodzimy z lat wojny z minimalnym dorobkiem artystycznym, a w dodatku z wybitnie uszczuplonym stanem posiadania zabytków i dzieł sztuki, które przez bestialstwo hitlerowskie **celowo i planowo** zostały zniszczone. Ruiny zabytków architektonicznych, zburzone pomniki, potrzaskane rzeźby, zniszczone i spalone tysiące płócien w Warszawie i innych miastach, to olbrzymia i niepowetowana strata w naszym narodowym dorobku artystycznym i tak przed wojną niebogatym.

Wchodzimy jednak w życie niepodległe z zupełnie innymi możliwościami w stosunku do tych, jakie istniały w Polsce przedwrześniowej. Dzięki opiece państwa nad sztuką i artystą, wskutek demokratyzacji i przebudowy społecznej, dokonujących się w tej chwili na naszych ziemiach, a co za tym idzie, dzięki rozszerzeniu orbity oddziaływania sztuki na masy naszego narodu, jako jej konsumenta — powstają nowe możliwości i otwierają się szerokie perspektywy rozwoju sztuk plastycznych w Polsce.

Rola artysty i jego odpowiedzialność za twórczość nabierają szczególnego znaczenia. Artysta, stając się naprawdę pełnoprawnym obywatelem, spełniającym ważną funkcję społeczną, musi ze swej strony przełamać pewne opory wewnętrzne spowodowane kilkudziesięcioletnią izolacją, wyjść z niej i wejść z powrotem w rytm życia. Izolacja taka zresztą nie mogła być zjawiskiem dodatnim (zaczynaliśmy to sobie uświadamiać przed wojną), prowadziła najczęściej do estetyzacji polegającej na rozwiązywaniu problemów czysto formalnych, które z natury rzeczy nie mogły znaleźć silnego oddźwięku w społeczeństwie; zasięg ograniczał się do nielicznych jednostek o wyrobionej i bardzo wysokiej kulturze plastycznej i potrzeba plastyki, jaka niewątpliwie drzemała w szerszych warstwach społeczeństwa, nie znajdowała zaspokojenia.

Izolacja ta i zacieśnianie się do zagadnień czysto formalnych, jako zjawisko ogólnoeuropejskie, były swego czasu objawem zdrowej reakcji przeciwko tzw. literaturze w sztuce i idącemu z nią w parze naturalizmowi, który zatracił podstawowe założenia sztuk plastycznych.

W procesie twórczym powstawania obrazu czy rzeźby biorą udział dwa elementy — czysto wizualny i duchowy. Czynnik czysto wizualny reaguje tylko na podniety formalne (malarskie czy też rzeźbiarskie), gdy czynnik duchowy wiąże twórcę, jako człowieka i członka społeczeństwa, z rzeczywistością w której żyje i oddycha.

Zachwianie równowagi na rzecz przeżycia czysto wizualnego, mimo że daje ono dobre malarstwo czy rzeźbę, prowadzi zawsze do zacieśniania problemu malarskiego i stwarza niebezpieczeństwo jałowej estetyzacji. Natomiast hypertrofia czynnika duchowego i co za tym idzie zbagatelizowanie wartości plastycznych i zatracenie ich na rzecz anegdoty, prowadzi do literatury w malarstwie czy rzeźbie, słowem do złej sztuki. Jedynie równowaga tych dwu czynników daje gwarancję powstania twórczości o najwyższym poziomie.

Klasycznym przykładem izolacji artysty był okres ostatnich 20 lat sztuk plastycznych w Polsce. Okres ten jednak ma tę niesłychanej doniosłości zasługę, że nawiązując do malarstwa zachodniego, a w szczególności francuskiego, stworzył dzięki gruntownemu przetrawieniu wszystkich spraw formalnych, pierwszy raz w Polsce szeroką i rzetelną podstawę do rozwoju dobrej sztuki. Dlatego też dziś, kiedy artysta polski został włączony w rytm życia całego społeczeństwa, nie powinien nigdy rezygnować ze swej wiedzy i osiągnięć plastycznych. Powinien tylko je zużytkować tak, by w twórczości jego zamknął się szeroki świat przeżyć ludzkich. I jeśli nie pójdzie na łatwy i chwilowy poklask, ale naprawdę, z uczciwością artystyczną zechce im nadać formy artystyczne, to wówczas wzbogaci skalę swej twórczości.

A że niebezpieczeństwo, gdy idzie się za kompasem czystego sumienia artystycznego, nie grozi — niech posłużą przykłady twórczości tylu Holendrów, jak choćby Vermeera van Delft czy Petera de Hoch, Goyi czy Daumiera, lub z bardziej nam współczesnych Renoira czy Vuillarda. Wszyscy oni w płótnach swoich odzwierciedlili współczesną im rzeczywistość, dając jednocześnie najwyższe osiągnięcia malarskie.

Tak zwany temat literacki w plastyce jest niebezpieczeństwem tylko dla złych artystów, albo dla tych, którzy nie umiejąc wyrazić go wizją plastyczną, próbują oddać go środkami natury anegdotycznej, co zresztą dotychczas większość naszych malarzy robiła. Temat przeżyty plastycznie i uczuciowo może stać się dla artysty nowym objawieniem, pozwalającym mu na osiągnięcie nowych zdobyczy formalnych, niedostępnych przy ograniczeniu poszukiwań kręgiem martwych natur.

Jedno jest jasne i bezsporne; droga na którą wchodzimy, nie jest łatwa i prosta. Należy z góry ostrzec przed łatwizną mówiącą, że „temat i tak wystarczy i obroni wszystkie niedociągnięcia, a nawet zupełny brak wartości artystycznych." Nie! Kryterium wartości pozostanie zawsze jedno — dobra sztuka. Bowiem każdy temat nawet najbardziej atrakcyjny i związany z nurtem życia, nie powie o nim nic, jeżeli będzie źle namalowany, a atrakcyjność jego zblednie i zniknie, jeżeli nie będzie sugerować wizji. Prawda artystyczna jest bowiem równa, a nawet często silniejsza i bardziej przekonywająca od prawdy życiowej, a prawda artystyczna zaczyna się dopiero tam, gdzie zaczyna się dobra sztuka. Dlatego też musimy zwalczać wszelkie próby obniżania wartości artystycznych na korzyść czy to schlebiania niewyrobionemu plastycznie konsumentowi, czy to na korzyść tzw. tematu.

Szerokie masy w Polsce, poza nielicznymi wyjątkami, są w stadium plastycznego analfabetyzmu. Na ten stan złożyło się wiele przyczyn i nie mam zamiaru tutaj ich omawiać, ale tym bardziej artysta polski musi sobie zdać sprawę z trudnej misji, jaka przed nim stoi i z całą odpowiedzialnością ująć sprawy twórczości. Tak uczciwie, by nie obniżając poziomu, otworzyć oczy szerokim masom, nauczyć je patrzyć tak, jak się uczy dzieci czytać, i nauczyć je widzieć pola i lasy, ziemię, niebo, człowieka i zwierzę — w ich bezmiernym bogactwie formy i koloru. W ten sposób artysta nie tylko nauczy społeczeństwo patrzeć na ziemię, na której żyjemy, ale wydobywając jej piękno, nauczy ją również kochać.

A osiągnie to wtedy, gdy nie rezygnując ze swych dotychczasowych osiągnięć artystycznych i z swojej wiedzy, opuści stanowisko przedwojennej izolacji wobec społeczeństwa i wynikającej stąd egzaltacji, i da szerokim masom sztukę, gdzie przedmiot, pejzaż, czy człowiek, przestaną być **tylko** pretekstem malarskim, ale nabiorą cech im właściwych, **wyrażonych jednak środkami malarskimi.**

Wciągnięcie w orbitę oddziaływania sztuki szerokich mas społeczeństwa musi zresztą odbywać się stopniowo i wymaga też nie tylko dużego wysiłku samych artystów, ale również umiejętnej opieki państwa nad twórczością.

Człowiek musi się nauczyć „patrzeć", a nauczy się dopiero wtedy, gdy od dzieciństwa i na każdym kroku będzie się oddziaływać nań w tym kierunku. Dlatego nie jest to tylko sprawa organizowania wystaw i muzeów, ale w równym stopniu stworzenie otoczenia codziennego o odpowiednim poziomie artystycznym. Wnętrze, w którym człowiek mieszka, uczy się, pracuje czy odpoczywa, ulice w ich różnorodnym bogactwie architektonicznym, z ich szpetotą lub pięknem, są codziennymi kulisami życia i kształcą zmysł plastyczny.

Dobry w formie choć skromny mebel czy też smaczna makata, dobra reprodukcja czy grafika na ścianie, zamiast oleodruków we wnętrzu mieszkalnym, gdzie człowiek żyje, fresk czy rzeźba w gmachach państwowych, gdzie załatwia sprawy urzędowe, czy też w kościele, gdzie się modli, wszystko, z czym styka się codziennie, powinno stać na odpowiednim poziomie artystycznym. Te codzienne doznania żłobią najsilniejsze ślady w psychice dając podstawy do wyrobienia kultury plastycznej.

Dlatego też musimy dążyć do tego, żeby plastyka stała się funkcją życia codziennego, żeby je przeniknęła i stała się jego nieodzowną częścią składową. Żeby wszystkie fasady i wnętrza naszych budynków spełniały nie tylko funkcje czysto utylitarne: ochrony przed czynnikami atmosferycznymi, schronienia dla snu czy pracy, ale żeby stały się również wyrazem naszych potrzeb kulturalnych.

Rola, jaką sztuka spełnia w społeczeństwie, jest olbrzymia. Sztuka jest składową częścią kultury narodu, urabia i kształtuje jego psychikę i duszę, jego wady i jego zalety. Jaka sztuka, taki naród!

Brutalność i chamstwo sztuki niemieckiej ostatniego okresu były jednym z czynników kształtujących rzeczywistość Niemiec hitlerowskich.

Wpływy tego barbarzyństwa i chamstwa duchowego zostawił nam okupant w spadku u znacznej części naszego społeczeństwa. Zadaniem sztuki będzie uleczyć te wykrzywienia psychiczne i tę deprawację duchową.

Kultura nie tylko kształtuje cechy narodowe i urabia naród, ale dzięki nim naród zyskuje dopiero swoją świadomość. Dlatego właśnie po naszej klęsce militarnej we wrześniu 1939 najeźdźca hitlerowski z taką zaciekłością dążył do zniszczenia naszej kultury.

Naród, na co mieliśmy przykłady w historii, może żyć, a nawet rozwijać się w niewoli i może ten ciężki okres przetrwać, ale zawdzięcza to swej sztuce i swej odrębnej kulturze. Bez nich stałby się zbiorowiskiem luźno ze sobą związanych jednostek. Sztuka jest jednym z tych czynników nader ważkich, łączących jednostki we wspólnotę narodową.

Plastyka w życiu społeczeństwa może spełnić ważne zadania wychowawcze. Dobry obraz, rysunek czy też rzeźba jest tworem zorganizowanym celowo, gdzie każdy element musi być podporządkowany całości, a wszystkie muszą ze sobą współbrzmieć. Dlatego też nauka rysunków, dając przygotowanie do zrozumienia i odczucia sztuki, jest wspaniałą szkołą logicznej organizacji, co przy naszym braku talentu w tym kierunku może spełnić doniosłą rolę wychowawczą.

Każde z wielkich dzieł sztuki staje się wspólnym dobrem narodowym wytwarzając niewidzialną więź jednoczącą społeczeństwo. Tak jest z twórczością Mickiewicza lub Słowackiego. Tak samo z twórczością Michałowskiego, Gierymskiego, Matejki, Rodakowskiego. Sztuka łączy i to nie tylko w obrębie własnego narodu, jest ona jednym z najistotniejszych pomostów do wzajemnego porozumienia narodów.

Po prostu

O bohaterze

W zbiorach „Komedii Francuskiej" zachował się afisz jednego z pierwszych przedstawień „Hamleta". Czytamy na nim: „Hamlet ou le Distrait, la pièce en 5 actes par Monsieur Shakespeare". Nie jest to tylko śmieszne. Kiedy dłużej nad tym pomyśleć, nie jest tak znowu bardzo niezrozumiałe, że dla widzów i aktorów tragedii Woltera „Hamlet" pana Szekspira był przede wszystkim człowiekiem roztargnionym. Ten „roztargniony Hamlet" kryje w sobie jedno z najciekawszych zagadnień literackich. Nie chodzi oczywiście o trafność przymiotnika, o to czy Hamlet był mniej lub bardziej roztargniony, chodzi o sam przymiotnik. Dla publiczności wychowanej na literaturze klasycznej, Hamlet, aby być bohaterem tragedii, musiał być kimś, kimś jednoznacznie określonym, musiał być uosobieniem którejś z cech charakteru. „Roztargniony Hamlet" — oto właśnie zagadnienie bohatera.

Achilles był odważny, Agamemnon był pyszny, Ulisses przebiegły. Achilles, Agamemnon i Ulisses byli bohaterami. Natomiast na pewno nie jest bohaterem Hans Castorp z „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna, ani Bernard z „Fałszerzy" Gide'a, ani tym bardziej Marcel z wielkiego cyklu Prousta. Bohaterowie mogą być śmieszni; pan Pickwick i czterej jego przyjaciele są przecież niewątpliwie bohaterami. Niedawno wpadło mi w ręce angielskie wydanie Dickensa. Każda powieść poprzedzona jest listą postaci. Na tej liście każda z osób występujących w powieści scharakteryzowana jest paroma przymiotnikami. Pan Pickwick jest to dobroduszny uczony, pan Tupman niezmiernie kochliwy gentelman, pan Winkle zapamiętały sportowiec... i tak dalej. W Paryżu jest przechowywany metr platynowy, który jest miarą i wzorcem wszystkich metrów, jakie są używane na całym świecie. Bohater jest zawsze wzorcem i miarą i dlatego musi być kimś, musi być określony.

„Pani Bovary — to ja!" — powiedział Flaubert. Pani Bovary nie jest bohaterką, jest tylko główną postacią powieści. Postać, która może być każdym z nas, nie będzie nigdy bohaterem. Bohater jest zawsze zarazem uproszczeniem i wyolbrzymieniem. Gargantua i Pantagruel są najprawdziwszymi bohaterami. Któż z nas nie zaczytywał się w młodości powieściami Juliusza Verne i Karola Maya? Winnetou i Old Shatterhand, kapitan Grant i ów uczony botanik, którego nazwiska zapomniałem, byli bohaterami naszego dzieciństwa. Wszyscy oni utkani są przez autorów z paru najprostszych cech psychicznych, są jak kukiełki w teatrze marionetek, które mogą wykonywać jedynie parę zasadniczych ruchów. Wykonują je zato niezmiennie. Są szlachetni, bohaterscy, odważni lub podli od urodzenia aż do śmierci, na biegunie północnym i w dżungli podzwrotnikowej, na dnie oceanu i na najwyższym szczycie Kordylierów. Nie podlegają żadnym ludzkim słabościom, nie znają zmęczenia ani zniechęcenia, nie umierają nawet i jak bóstwa czystej energii zawsze gotowi do czynu kroczą zwycięsko po pięciu częściach świata. Czyżby jednak koniecznie za stworzenie postaci bohaterskiej miało się płacić okup w postaci naiwności psychologicznej? Jan Jakub Rousseau pisząc swoje „Wyznania" uważał za konieczne usprawiedliwić się we wstępie. Na pierwszej karcie swej autobiografii dowodzi, że motywem jaki go skłonił do pisania, było głębokie przeświadczenie o wyjątkowości własnego życia, o tym, że on sam jest zupełnie niepodobny do wszystkich ludzi, jakich spotkał, że odkrył w sobie uczucia i namiętności dotąd zupełnie nieznane. Otóż to usprawiedliwienie Russa była zapowiedzią i pierwszym sformułowaniem jednej z najbardziej doniosłych i gwałtownych rewolucyj literackich. Dla klasyków francuskich, od Montaigne'a aż po Woltera, jedyną i zasadniczą racją pisania było właśnie przekonanie, iż ukazują to, co jest wspólne wszystkim ludziom, co jest powszechne, co jest niezmiennym mechanizmem serca ludzkiego. Bohater klasyczny był wyolbrzymionym modelem wielkich i wiecznych namiętności. Pomiędzy „Charakterami" La Bruyère'a i słynnym opisem konia w historii naturalnej Buffona nie ma wielkich różnic. Dla klasyków literatura była wiedzą o człowieku jako gatunku; wiedza wyjaśnia zjawiska typowe i powtarzalne, pomija indywidualne i przypadkowe. Dla romantyków literatura stała się objawieniem indywidualności.

Cztery zasadnicze wzorce typów ludzkich klasycznej psychologii ustąpiły miejsca nieskończonej liczbie charakterów. Charakter jako zbyt statyczny zastąpiło bardziej płynne pojęcie osobowości. Psychologia postaci mówiła już tylko o „strukturach", aż wreszcie psychologia głębinowa rozbiła jedność życia psychicznego na atomy niezależnych od siebie doznań. W okresie tryumfu prądów irracjonalistycznych nie wiele zostało z dawnego pojęcia natury ludzkiej: parę praw bio-mechanicznych, kilka powtarzających się typów symboliki seksualnej i czysto literacki obraz zmagania się instynktów mocy i trwania z instynktami zniszczenia i śmierci. Z tego dorobku stworzenie bohatera okazało się niemożliwe, podobnie jak nie można z wyschniętej gliny ulepić posągu. Powieść zanurzyła swe postaci w krainie marzeń, snów i halucynacji.

Powrót do klasycznego bohatera, do mitologizowania jednej z cech charakteru, jest niemożliwy i niecelowy. Pomiędzy Mizantropem, Cydem, Świętoszkiem i nami stoją inni jeszcze bohaterzy literaccy. Balzac, Stendhal i Tołstoj stworzyli również bohaterów. Julian Sorel, ojciec Goriot i Lucjan de Rubempré stali się bohaterami nie dlatego, że uosobiają wieczne i wielkie namiętności. Są bohaterami walczącej klasy społecznej, ukazują formowanie się społeczeństwa mieszczańskiego. Na powieściach Balzaka można się uczyć historii, a historia ma zawsze swoich bohaterów.

Postaci bohaterskie wyrastały jedynie z prawdziwej wiedzy o człowieku i świecie. Kiedy powieść współczesna dojrzy w rzeczywistości społecznej zamiast bezsensu i koszmaru surowe prawa postępu, odnajdzie i stworzy bohaterów.

Jan Kott

JERZY LAU

GAŁĄZKA SNU

Płyną nocą
w łodziach drzew
księżycowe łuski brodów,
w rękach mają sieci snu,
lun gorący niewód.

Fal się plecie
dźwięczny warkocz,
grają, wrócą brzegi.
Srebrem wbiją się lemiesze
w mosty krasnopióre
Gwiazda trafi rzekę,
głębia zróżowieje.

Wstanie, wstanie
sternik strun
w łodzi zorzorunej —
w jedwabiach wód,
w wieczornej glinie
korzenie sławić mogli.

*

Wrzosów przekwita
dymiąca zgorzel.
W południe ptaki
będą słońcem łkać.
Tylko świat się zmniejszy
w szarą garść popiołu,
gdy jaskółka narysuje
twój rodzinny dom.

W poprzednim (21) numerze „Odrodzenia" z dnia 22 kwietnia: **Jerzy Andrzejewski:** O realizmie i fantastyce. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (9). — **Maksymilian Boruchowicz (M. M. Borwicz):** Literatura w obozie. — **Eugeniusz Żytomirski:** Szopen. (Fragment poematu) — **Kazimierz Brandys:** Bukszpan. — **Stefan Otwinowski:** Literatura i życie. (Próba rachunku). — **Jaromir Ochęduszko:** Nareszcie. — Kronika. — **Jarosław Iwaszkiewicz:** Ikar. — **Jan Kott:** Po prostu. Przewodnik po krainie idylli. — **Czesław Miłosz:** Śmierć Kassandrze. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia": Odpowiedź **Jana Gwalberta H. Pawlikowskiego. — Zbigniew Bienkowski:** Wystawa prac Zinowija Tołkaczewa. — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — **Stefania Łobaczewska:** Przegląd muzyczny. — **Kalendarz kulturalny.** — 8 stron — 2 ilustracje.

WITOLD RUDZIŃSKI

Kompozytor polski pod okupacją

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że gdy doszliśmy wreszcie do głosu, chcemy przede wszystkim podsumować wyniki, obliczyć straty, nacieszyć się sukcesami. Gdy myślę o pracy, jaką kompozytor polski w czasie niewoli wykonał i gdy chcę tę pracę ocenić, nieodparcie nasuwa mi się porównanie z końcem poprzedniej wojny. Muzyka polska, która zabłysła przed 1914 rokiem pięknymi nazwiskami, wyszła z wojny zubożona. Nie dlatego, żeby kompozytorzy zginęli w czasie działań wojennych, ale panowała wtedy tak niesprzyjająca atmosfera, że z wielu zapowiadających się gwiazd pozostała tylko jedna — Karol Szymanowski. Wszyscy inni, Różycki, Szeluto, Fitelberg (Karłowicz zmarł przed wojną), Statkowski — zamilkli, przez całe dwudziestolecie aż do zjawienia się nowego pokolenia muzyków nie wnieśli nowych, bezspornych wartości.

Przykład **Różyckiego**, nestora muzyki polskiej, jest godny uwagi. Wybijający się na czoło przed pierwszą wojną światową zamienił „Erosa i Psyche" na „Casanovę" i „Laleczki", po czym uparcie milczał. Atmosfera, w jakiej podczas obecnej wojny znaleźli się kompozytorzy polscy, porwała również Różyckiego, który znowu chwycił za pióro. Właśnie pod okupacją niemiecką napisał „Poemat symfoniczny", koncert skrzypcowy i fortepianowy, zaczął pracować nad operą. Nie wiemy, jakiego rodzaju jest to muzyka, ale sam fakt jest znamienny.

Wojna nie stała się dla większości kompozytorów polskich urlopem, rozgrzeszeniem od pracy. Przeciwnie, w pracy polskiego muzyka czuć było niepokój; dla wielu z nas były to przecież lata młodości, a lata te próbą i probierzem powołania i talentu, egzaminem wobec okupanta. Muzyk polski nie dał się przygnębić okolicznościami, nie zawiesił lutni na kołku — w jego zawziętej pracy wyrażał się protest, iż los przerwał mu prowadzenie rozpoczętej przed wojną twórczej pracy oraz uparte przekonanie, że odradzająca się kultura polska nie da się zdławić. Widać w tym było tak olbrzymi nakład pracy i wytrwałości, że trudno z tego się nie cieszyć.

Rzecz osobliwa, że kompozytor mógł pod okupacją łatwiej osiągnąć wykonanie swojej muzyki niż przed wojną. Tajne audycje kompozytorskie dawały możliwie najszerszy przegląd twórczości, z tym oczywiście zastrzeżeniem, że zastępowano np. orkiestrę dwoma fortepianami, że chętniej wykonywano utwory kameralne niż symfoniczne itd. Trzeba tu zrobić dygresję, bardzo istotną dla muzyka. Poeta może stosunkowo łatwo swój utwór wydrukować, zamieścić w jakimś czasopiśmie, przepisać wreszcie na maszynie, albo odręcznie. Z muzykiem rzecz jest bardziej skomplikowana. Wydać jakiś poważniejszy utwór, to sprawa wielkich kosztów i wielu zabiegów; równie trudne jest wykonanie. Tymczasem, dla młodego zwłaszcza kompozytora usłyszenie „siebie samego", przepuszczenie swojej muzyki przez sito smyczków, filtry trąb, wirówkę fletów i obojów — to wielkie i cenne doświadczenie. Otóż w zakresie tej elementarnej i nieodzownej potrzeby kompozytora, zrobiono ogromnie dużo, zwłaszcza w Warszawie, która stała się w latach wojny ogniskiem muzycznym całej Polski. Pomimo jednak wielkich wysiłków w celu utrzymania życia muzycznego, ruch koncertowy — nikły oficjalny i bujny konspiracyjny — oddawał wprawdzie nieocenione usługi kompozytorom, ale nie mógł się stać **propagatorem** młodej muzyki polskiej. Jeśli się więc weźmie pod uwagę rzadkość audycyj symfonicznych i warunki, które nie zawsze pozwalały na uczestniczenie w każdym koncercie, stanie się rzeczą jasną, dlaczego wiele pozycyj w twórczości polskiej można tylko podać, a nie omówić.

Ujemną cechą życia muzycznego pod okupacją był niemal zupełny brak nowych talentów kompozytorskich. Prawie wszystkie nazwiska, które podam w wykazie wojennej twórczości, były znane na długo, czy na krótko — ale już przed wojną; objaw to niepokojący i nakłada trudne zadania na odrodzone szkolnictwo muzyczne w Polsce.

Jest ironią losu, że największym i bodaj jedynym nowym talentem okazał się w czasie wojny blisko czterdziestoletni **Konstanty Régamey**, znany przed wojną jako doskonały krytyk muzyczny, poza tym zaś ceniony jako uczony orientalista.

Niezwykle ruchliwy umysł, Régamey w czasie wojny zabrał się do pisania gruntownej książki o muzyce współczesnej. Doprowadzona mniej więcej do połowy, nie wiem czy po powstaniu jeszcze się dochowała, Régamey bowiem wywieziony został w głąb Niemiec. W trakcie studiów nad problemami muzyki współczesnej postanowił praktycznie zbadać tzw. technikę dwunastotonową, modną w swoim czasie, ale w gruncie rzeczy mało znaną. W ten sposób powstały pieśni do słów poety perskiego na baryton z orkiestrą. Wywarły one duże wrażenie. Muzyka Régameya miała tyle poetyczności, ciepła, niezwykłego uroku, była technicznie tak nieskazitelna, że uznano ją natychmiast za największe wydarzenie muzyczne po Szymanowskim. Napisany później przez Régameya kwintet na fortepian, skrzypce, klarnet, wiolonczelę i fagot potwierdził przekonanie, że jest to prawdziwy talent kompozytorski. Jeśli Régamey nie pisywał dotąd, to tylko dlatego, że nie dowierzał swoim siłom, ale zbyt długo hołdował pogoni za oryginalnością, zbyt się obawiał banalności. Dopiero izolacja wojenna i naukowe zainteresowania skłoniły go do pisania. W Régameyu mamy jeszcze jeden świetny, posiadający doskonałe techniczne przygotowanie, talent.

Parę słów należy się starszej generacji muzyków. Wysiedlony z Poznania **Nowowiejski** napisał symfonię, **Rytel** jeszcze jedną operę: „Krzyżowców", o **Różyckim** już mówiliśmy. Dużą produkcją poszczycić się może **Wieniawski:** Symfonia, Sinfonietta, Mała suita, Divertimento. Trudno dziś, dopóki jej nie usłyszymy, określić wartość tej muzyki. Zastrzeżenie to odnosi się zresztą do większości utworów wojennych.

Przechodząc do twórczości tej generacji, która na krótko przed wojną stanowiła przodującą grupę kompozytorów, wypada zrobić ogólną uwagę, że produkcja jej w czasie wojny uległa raczej zahamowaniu. **Sikorski** — najbardziej zasłużony dla polskiej twórczości muzycznej pedagog — napisał III Symfonię, **Marian Rudnicki** (zmarły w jesieni 1944 r.) „Trzy pejzaże dźwiękowe", pieśń o Wawelu z „Akropolis", „Ojcze nasz" (na chór i solistów z orkiestrą), polonez na fortepian z orkiestrą, rapsodię na skrzypce z orkiestrą, kwartet smyczkowy; tak płodny przed wojną **Maklakiewicz** — poemat symfoniczny „Grunwald" oraz koncert fortepianowy; **Szeligowski** ograniczył się do bardzo ludowo-szopenowsko-stylizowanego koncertu fortepianowego, ilustracji do Szekspira „Wieczoru Trzech Króli" i sonatiny na fortepian; **Kassern** — suita na dwa fortepiany, dwa koncerty na orkiestrę smyczkową, concertino (fortepian z orkiestrą), dwie sonatiny; **Wiechowicz** — kwartet smyczkowy; **Wiłkomirski** — kwartet smyczkowy, „Sonata da chiesa" na wiolonczelę i organy; **Popławski** — sonata na altówkę z fortepianem, łatwe utwory na skrzypce; **Perkowski** — Symfonia, II kwartet, utwory fortepianowe i pieśni. Daleki jestem od tego, żeby twórczość kompozytorską oceniać według ilości utworów, statystycznie, jak produkcję owsa albo kartofli. Jednak w zmniejszonej ruchliwości dojrzałej generacji kompozytorów widać wyraźnie zmęczenie i opuszczenie skrzydeł. Przeglądając litanię tych nazwisk nie widzi się wyraźnie, czy które z nich zabłyśnie jeszcze, czy też awangardowi niegdyś kompozytorzy zmienią się w organizatorów i zasłużonych jubilatów. Niektórzy wybitni przedstawiciele tej generacji, jak np. **Woytowicz**, wcale nie pisali w okresie wojny.

Przegląd młodszej, dziś najsilniejszej grupy kompozytorskiej (30—40 lat), rówieśników Miłosza, Zagórskiego i Przybosia, rozpoczniemy od uczczenia **Romana Padlewskiego**, który bohatersko padł na barykadach na Starym Mieście. Subtelny intelektualista, o dużym wykształceniu ogólnym i muzycznym, żywił zainteresowanie przede wszystkim dla muzyki kameralnej (dwa bardzo wynalazcze i technicznie „leżące" doskonale na smyczkach kwartety oraz sonata na skrzypce solo), poza tym napisał (niezbyt udaną) transkrypcję toccaty D-dur Bacha na orkiestrę, transkrypcję, raczej swobodną aplifikację, koncertu Janiewicza (XIX wiek) na skrzypce z orkiestrą, suitę na skrzypce z orkiestrą i transkrypcję z Szymanowskiego pt. „Suita kurpiowska".

Grażyna Bacewiczówna jest chyba jednym z najbardziej płodnych kompozytorów polskich. Znakomitą techniką nadrabia jednak defekty w koncepcji; w tych zawsze dobrze zbudowanych, zgrabnych, pełnych temperamentu utworach widać wprawdzie nieustanny postęp, ale nie dostrzega się organicznego rozwoju. Skala zainteresowań kompozytorki jest zdumiewająca i wprost proporcjonalna do tempa produkcji: symfonia, koncert fortepianowy, dwa kwartety smyczkowe, duet na dwoje skrzypiec, sonata na fortepian — jestem pewien, że nie wymieniłem wszystkiego — są to utwory świadczące o gruntownym opanowaniu techniki kompozytorskiej przez autorkę.

Naczelne miejsce należy się w młodej muzyce **Romanowi Palestrowi.** Jest to jedyny kompozytor, który po wstępnym powodzeniu (przedwojenna Warszawa lubiła „lansować" co rok kogoś innego), nie osiadł na mieliźnie. Palester, to przede wszystkim inteligencja, muzykalność, znajomość techniki, a zwłaszcza świetne wyczucie orkiestry. Jest to jeden z tych nielicznych kompozytorów polskich, którzy mają sprecyzowaną ideologię estetyczną (do nich zaliczyłbym również Lutosławskiego i Kisielewskiego). Trudno jest znaleźć taki dział twórczości, którego by Palester nie tknął. Symfonia, Ogińskiana (cykl polonezów Ogińskiego „przetransponowany" na orkiestrę), concertino na fortepian z orkiestrą, koncert skrzypcowy, muzyka do „Akropolis" Wyspiańskiego, opera (na tle „Żywych kamieni" Berenta), sonata na dwoje skrzypiec z fortepianem, „Kołacze" na chór żeński i 19 instrumentów, sonata na cztery ręce — łatwo to wymienić, jakże trudno napisać.

Ideowo zbliżony do Palestra **Witold Lutosławski** napisał w czasie wojny symfonię, transkrypcję kaprysów Paganiniego na skrzypce z fortepianem, szereg transkrypcji na 2 fortepiany (Paganini, Bach, Szymanowski), etiudy fortepianowe. **Stefan Kisielewski** wypowiadał swój sardoniczny humor w symfonii, koncercie na orkiestrę kameralną, sonacie na klarnet solo (nieudanej), suicie na skrzypce, drobiazgach fortepianowych, bardzo udanym cyklu preludiów i fug, pełnej rozmachu suicie na 2 fortepiany. Przy tak intensywnej pracy kompozytorskiej znalazł Kisielewski dość czasu, by napisać dwie powieści. Bliski jest wymienionym **Andrzej Panufnik,** wybijający się dyrygent i muzyk. Dwie symfonie, uwertura tragiczna, marsz jaworzyński stanowią jego dorobek wojenny. **Witold Rudziński** zaprezentował publicznie Divertimento na orkiestrę smyczkową (w Wilnie i w Warszawie), II kwartet smyczkowy, partitę na wiolonczelę i fortepian, poza tym ma w swoim dorobku wojennym II sonatę na skrzypce, balladę na fortepian, II Symfonię, cykl preludiów, nokturn. Z innych wymienimy jeszcze **Krzyńskiego** (Uwertura, opera „Nowy Don Kichot"), **Bukowskiego** („Moja pieśń wieczorna" na orkiestrę z chórem i solistami, koncert fortepianowy, kwartet smyczkowy, drobne utwory fortepianowe), **Szymonowicza** (koncert fortepianowy, toccata, mazurki), **Żuławskiego** (koncert w stylu Bacha, kwintet fortepianowy, partita na fortepian, mazurki), **Tomasza Kiesewettera** (opera „Zawiedziony Don Juan", kwartet smyczkowy), **Turskiego** (kwartet smyczkowy, impresje fortepianowe), **Kałkę-Rowickiego** (kwartet smyczkowy), **Iszkowską** (sonata na altówkę z fortepianem, sonata na skrzypce z fortepianem, preludium na skrzypce, wariacje na fortepian), **Malawskiego** (Burleska na skrzypce z fortepianem, Symfonia nr I, kwartet smyczkowy nr II), **Dąbrowskiego** (Mazurki na fortepian, utwory dla dzieci), **Późniaka** („Pieśń o rycerzu Trójsławie" na solo, chór i orkiestrę, Msza, opracowanie pieśni ludowych).

Interesujące pozycje zawiera polskie piśmiennictwo o muzyce. Mówiliśmy już o książce Régameya, dotyczącej muzyki współczesnej. Powstało w czasie wojny (wymieniam również rzeczy, które nie są jeszcze ukończone) wiele książek ogólnych: Stromengera „Słownik muzyczny", Chybińskiego „Słownik muzyków polskich do r. 1800", encyklopedyczna praca o charakterze popularyzacyjnym Witolda Rudzińskiego pt. „Muzyka dla wszystkich"; z podręczników: Śledzińskiego „Historia muzyki", „Instrumentacja wojskowa" Sikorskiego „Harmonia", Wiechowicza „Dyrygent chóralny" oraz „Formy i literatura chóralna", Wiłkomirskiego „Harmonia" i „Fuga"; sporo prac o Chopinie: Chybińskiego („Scherza"), Jachimecki („Polonezy i pieśni") Miketta („Mazurki i rytmika"), Szczepańska („Walce"), ks. Feicht („Wariacje"), Dunicz („Utwory kameralne"); Chybińskiemu zawdzięczamy monografię o Karłowiczu, Łobaczewskiej o Szymanowskim. Redakcją pism muzycznych i listów Szymanowskiego zajęli się Iwaszkiewicz i Golachowski. Wymienić też należy kilka prac o charakterze pedagogicznym: Rutkowskiego — śpiewnik szkolny, Rączkowskiego — szkoły na organy i harmonium, Jarzębskiego oraz Hermana — szkoły na skrzypce, Stroińskiego — szkołę na fortepian.

Brak zupełnie wiadomości o kompozytorach polskich, których wojna zastała za granicą (Kondracki, Maciejewski, Szałowski, Spisak). Jeszcze w 1940 r. miałem wiadomości, że Szałowski i Spisak pracują nad utworami symfonicznymi: Szałowski nad sinfoniettą, Spisak zaś, duchowy spadkobierca Szymanowskiego, nad symfonią.

Rzecz to bardzo smutna, że spis ten należy poprawić in minus; wiele rękopisów zaginęło po powstaniu w Warszawie, zwłaszcza bardzo bogate zbiory Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej, np. pół wojennej twórczości Palestra pochłonął ogień. Informacje, które tu podałem nie są na pewno całkowite, nie uwzględniają tych prac, które muzycy nasi podjęli w ostatnich miesiącach; sądzę, że zebranie opuszczeń, opublikowanie pominiętych (nie przez złą wolę, ale przez brak wiadomości) nazwisk — będzie rzeczą pożyteczną.

WACŁAW ROGOWICZ

Niedokończone arcydzieło Aleksego Tołstoja

Przed trzydziestu kilku laty najgłośniejszy wówczas rosyjski poeta-modernista, Konstanty Balmont, poliglota i poszukiwacz egzotycznych motywów do swej liryki po całym świecie, pokazał mi kiedyś w swej paryskiej pracowni tomik wierszy nieznanego jeszcze autora Aleksego Tołstoja. Był to — zdaniem Balmonta — jeden z najzdolniejszych młodych poetów „z jego szkoły". Przeczytałem zbiorek. Wiersze były sztuczne, nieciekawe, nasycone ciągnionym za włosy, modnym wówczas symbolizmem. Czytając te utwory nie mogłem ani rusz wzbudzić w sobie oddźwięku dla entuzjastycznej oceny ich duchowego ojca.

Minęły lata, przyszła pierwsza wojna światowa, rewolucja w Rosji. Konstanty Balmont skostniał na obczyźnie w swym kosmopolityzmie i sztuczności formy poetyckiej — Aleksy Tołstoj stał się jedną z czołowych postaci literatury sowieckiej, a przez „Piotra Pierwszego" i wszechświatowej. Balmont miał niewdzięcznego ucznia: czytałem wyznanie Tołstoja, że pierwszego zbioru swych poezji napisanych pod wpływem Balmonta „wstydził się już po roku". Jak powiada, nie dobrze wszedł do literatury czwartą swoją książką, tomem prozy pt. „Zawołżje". Był to pamflet na szlachtę zawołżańską, z której sam pochodził.

Ale dopiero wojna światowa 1914—18 otworzyła dla Tołstoja ten okres twórczości, który miał ją doprowadzić do pełni rozkwitu. Był jakiś czas korespondentem wojennym „Ruskich Wiedomostiej" i — jak pisze — „choć moje felietony były liche, lecz zato na froncie ujrzałem tragedię życia, tragedię ludzi. Wyszedłem z zaczarowanego koła i dostrzegłem wszystkie procesy historyczne".

W tym przełomowym okresie zastała go rewolucja 1917 roku. Początkowo hr. Aleksy Tołstoj wyemigrował, jak tylu innych pisarzy i artystów rosyjskich, ale po paru latach, nie chcąc gnuśnieć w atmosferze jałowych emigracyjnych swarów, wrócił do ojczyzny. W 1919 roku napisał pierwszą część trylogii „Drogami męki" („Chaždienije po mukam"), noszącą tytuł „Siostry". Tę książkę należy uważać za rozpoczęcie nowego etapu twórczości Tołstoja, gdzie szczytowe miejsce zajęła monumentalna powieść historyczna „Piotr I."

Dziś, gdy przedwczesna śmierć wielkiego pisarza nie pozwoliła mu skończyć pracy nad ostatnim tomem jego arcydzieła, dobrze będzie, sądzimy, przypomnieć je polskiemu czytelnikowi, który przed dziesięciu laty miał możność poznać pierwsze dwa tomy „Piotra". Należy też, w interesie pogłębiania współpracy kulturalnej polsko-radzieckiej, zaprezentować i oświetlić ten kapitalny twór literatury naszego sojusznika nowym rzeszom czytelników polskich, wyrosłym przez ostatnie dziesięciolecie.

Artystyczna strona tego dzieła przykuwa i fascynuje od pierwszych kart porywającą plastyką obrazów, mistrzostwem w prowadzeniu wieloplanowej akcji, obfitością przepysznie rysowanych figur, mocno związanych z tłem obyczajowym, gdzie wprost imponuje erudycja autora i jego znajomość odtwarzanej epoki. Niejednego z polskich czytelników może chwilami razić zimny, epicki spokój, z jakim Tołstoj maluje okropne sceny tortur, okrucieństw i dzikich wybryków młodego cara Piotra Aleksiejewicza. Autor zdaje się patrzeć na te potworne objawy surowości obyczajowej obojętnym okiem kronikarza.

Postawa jego stanie się dla nas zrozumiała i usprawiedliwiona, gdy uprzytomnimy sobie historiozoficzną wagę tego dzieła (dlatego wspomniałem wyżej o zrozumieniu przez autora podczas wojny procesów historycznych, jako punkcie wyjścia dla nowego etapu jego twórczości). Tołstoj chciał pokazać w carze Piotrze, który przeszedł do historii z przydomkiem Wielkiego, nie monarchę, boskiego pomazańca, miłościwie (choćby i srogo) panującego, lecz genialnego człowieka, co przedsięwziął gigantyczne zadanie zeuropeizowania ówczesnego państwa moskiewskiego, zapleśniałego w azjatyckiej odmianie feudalizmu na przełomie XVII i XVIII wieku. Piotr, wielki reformator polityczno-narodowy, nie cofa się przed ogniem i żelazem wobec nieposłusznych jego idei, jak nie cofali się przed drakońskimi środkami wobec „heretyków" prawodawcy religijni wszystkich czasów. Cierpienia jednostki nie mogą go powstrzymać od karczowania drogi na Zachód w kniei gnuśności, lenistwa i ciemnoty moskiewskiej. Wiemy z historii (w drugim tomie tego jeszcze nie ma), że Piotr rodzonego syna skazał na śmierć, gdy się przekonał, iż następca jego całe dzieło ojcowskie zaprzepaści objąwszy tron. Czyż miał się wahać w poskromieniu możnowładców, mając za sobą skuteczny przykład Iwana Groźnego, a na Zachodzie bliższy prawie mu współczesny wzór — kardynała Richelieu? Toć zawołał, będąc w 1717 r. w Paryżu przed posągiem tego wielkiego męża stanu potężnej Francji: „Dałbym połowę swego państwa takiemu człowiekowi, jak ty, żeby się nauczyć rządzić drugą połową".

Kasta bojarska była poważnie niebezpiecznym dla Piotra wrogiem. Za czasów swej małoletności widział dokoła siebie ustawiczną walkę — w której stawką była jego głowa — starych rodów, bądź stojących po stronie panującej przyrodniej siostry Piotra, carówny Zofii, bądź popierających Naryszkinów, rodzinę jego matki, Natalii. Narzędziem stronników Zofii byli „strzelcy", jedyna zbrojna

podpora carów moskiewskich, rozzuchwalona przywilejami (żołnierze ci mieszkali w „słobodach" z rodzinami, mogli się zajmować handlem i rzemiosłem). Ustawiczne spiski Zofii przeciw mężniejącemu bratu i bunty tego żołnierstwa, Piotr po zesłaniu Zofii do klasztoru i ujęciu władzy w ręce, zakończył straszliwym pogromem i bezprzykładną rozmiarami kaźnią: po mękach śledztwa 8000 strzelców powiesił na murach Kremlu, nie pozwalając przez całą zimę zdejmować trupów.

Strach padł na Moskwę, na lud i na bojarów. Walka o tron była skończona. Ale szlachta feodalna miała teraz inny powód, by uważać cara za swego wroga, ważniejszy i głębszy od złamania narzędzia ich intryg — strzelców, bo usiłujący podciąć w korzeniu podstawę historycznego bytu i odwiecznej ich roli kasty przodującej w państwie: reformy w życiu i obyczaju wprowadzane przez cara.

Łatwiej było bojarom znieść ciężar wydatków na budowę floty, organizację armii, sprowadzanie z zagranicy instruktorów do tworzenia przemysłu wojennego, na zapustne festyny wreszcie młodego władcy — boć to wszystko skrupiało się ostatecznie na skórze pańszczyźnianego chłopa. Ciężej się dało znosić naigrawanie się cara z prastarego obyczaju, nieposzanowania przezeń samej godności monarszej. Car Wszechrosji, Wielkiej, Małej, Białej etc. kumający się w oberży niemieckiej „słobody" w Moskwie z prostymi rzemieślnikami i kupcami, honorujący cudzoziemców pracujący piłą, toporem i młotem w dokach Holandii, piastun czapki Monomacha w peruce i pludrach, nakazujący bojarom golić brody, czyścić zęby kredą i nosić strój luterski, kochanek córki oberżysty, (młoda, ślubna żona — do klasztoru), przyjaciel łapserdaka wziętego z ulicy (Aleksaszki Mieńszykowa) — czyż nie był wcieleniem Antychrysta na świętej Rusi?...

A tu trzeba słuchać, milczeć i uśmiechać się pod straszliwym wzrokiem rozgniewanego Piotra Aleksiejewicza!

Postać tego praojca-zwiastuna demokracji Rosji jest arcydziełem intuicji artystycznej i majstersztykiem psychologa. Tołstoj odniósł się z wyraźną sympatią do swego bohatera, choć nie tai żadnego z mrocznych rysów tej duszy (patologiczna popędliwość, sadyzm moralny, obojętność na los masy chłopskiej, której doli reforma Piotrowa bynajmniej nie poprawiła). Zjawisko wysoce znamienne: Aleksy Tołstoj, wyznawca ustroju budującego nową socjalną rzeczywistość, w szczytowym dziele swej twórczości dał jawny wyraz **kultu dla genialnej jednostki.** Potężna indywidualność Piotra ugniata życie środowiska, w którym działa, w kształt przez siebie obmyślany, nie tłumacząc w swych dekretach dlaczego zarządza to lub owo. Żadnych orędzi do poddanych, manifestów do ludu, gdzie odzywałby się motyw wychowawczy. Było w tym zapewne genialne wyczucie nieprzeoranej pługiem dogłębnych przemian natury swego narodu, w owej epoce zbyt jeszcze biernego, leniwego i ciemnego, by w sprawach państwowo-społecznej natury jego wódz mógł uważać za celowy jakikolwiek słowny dydaktyzm. Cele działań Piotrowych jemu tylko i najbliższym współpracownikom były wiadome. Naród miał po stworzeniu potęgi militarnej, niezbędnej do zabezpieczenia granic i rozwoju handlu zamorskiego, poznać korzyści szczepienia cywilizacji zachodniej na dziko rosnącym drzewie na poły barbarzyńskiego bytowania — i wtedy zrozumieć, czemu kazano tysiącom ginąć na północy i na południu, pod Azowem i pod Narwą, i zamienić niewolę u panów na sroższe jeszcze jarzmo niewolniczej pracy w ruinach Uralu, w hutach Tuły i w dokach Archangielska.

Czy wielki zamysł Piotrowy wydał za jego następców owoce dla mas ludowych?

Historia dwustu lat carskiej Rosji zreformowanej „u góry" i zewnętrznie, dała na to odpowiedź negatywną.

Trzeba było, żeby na horyzoncie dziejów tego państwa, tego narodu doniosłych dla ludzkości przeznaczeń, ukazała się nowa genialna jednostka, nowy budowniczy jego przyszłości. Trzeba było, żeby on zapoczątkowane obaleniem caratu dzieło zreformowania „dołów" poprowadził drogą wyzwolenia drzemiących w ludzie **narodowych mocy.** Trzeba było wreszcie, by we krwi i w ogniu śmiertelnych, lecz zwycięskich zapasów z potomkami tych, co Piotrowi Pierwszemu służyli za przewodników do Europy, realizował je jednocześnie we wspólnej, socjalnej idei ludów, pragnących żyć z pracy własnych rąk i mózgów, w bezpieczeństwie i w pokoju.

Dwa dotychczas wydane tomy „Piotra Pierwszego" wprowadzają nas dopiero w pierwsze lata XVIII wieku, do pierwszych starć (pogrom pod Narwą) ze znakomitym przeciwnikiem Piotra w walce o Bałtyk, szwedzkim królem Karolem XII. Jeszcze nic nie zapowiada możliwości pokonania na polach Połtawy w 1709 r. młodego wodza jednej z najpotężniejszych w ówczesnej Europie armii, opromienionej sławą bojów w wojnie trzydziestoletniej.

Korzystając z tego, że Karol ruszył na króla Augusta II i pobitego w Inflantach szukał w niebronionej Warszawie i dalej, Piotr po zdobyciu kilku mniejszych twierdz szwedzkich, broniących dostępu do Bałtyku, sam zakłada twierdzę na fińskiej, błotnistej wysepce Newy, ochrzczoną mianem Piterburck.

Rozpoczęcie budowy ośrodka przyszłej stolicy Rosji kończy tom drugi wielkiego eposu historycznego Tołstoja.

W ostatnich rozdziałach mamy dopiero pierwsze zapowiedzi walnej rozprawy Piotra z klerem, uwieńczonej ogłoszeniem siebie za głowę cerkwi prawosławnej w Rosji. Car nie myśląc teraz o niczym innym, tylko o stworzeniu nowej armii, która by mogła stawić czoło Szwedom w nieuniknionej ciężkiej walce w niedalekiej przyszłości, zapędza w Nowgorodzie mnichów i mniszki do robót obronnych, zabiera do lania dział część dzwonów moskiewskich cerkwi, a skarbce klasztorne chroni przed dobraniem się do nich tylko decyzja księcia-namiestnika Romodanowskiego wydania Piotrowi tajnego skarbca cara Aleksego Michajłowicza: „Na schyłku żywota rodzic twój przywoławszy mnie zarządził, aby żadnemu z następców tego nie wydawać, chyba, że państwo przyciśnie ostateczna potrzeba w godzinie wojny".

Taka godzina wybiła. Może nie dla państwa, lecz dla wielkich ambicyj Piotra. A ten twórca nowej epoki w dziejach Rosji mógł był powtórzyć za współczesnym mu Ludwikiem XIV: „L'état c'est moi".

Wacław Rogowicz

Przegląd prasy

Twórczość literacka w chwili obecnej może uzyskać szerszy wyraz na scenie niż w druku. Teatr swobodniej dysponuje tekstem niż książka, w okresie, gdy życie wydawnicze napotyka olbrzymie trudności techniczne.

Rozwiązanie tak żywej dziś sprawy rewizji stosunku do przeszłości, wyboru poprzedników, kontynuacji jednych treści, a odżegnania się od innych, może obecnie znaleźć swój kształt praktyczny najłatwiej na scenie. Wybór stu pierwszych książek — to problem dla długiej dyskusji, lecz wybór repertuaru — to sprawa doraźna, której teorię od wykonania dzieli nieraz czas bardzo krótki. Dlatego teatr, to co się wokół niego mówi i dzieje, jest dla nas przedmiotem troski.

Arnold Szyfman, dyrektor departamentu teatralnego w Ministerstwie Kultury i Sztuki, oświadczył w wywiadzie dla prasy, że: **„Wszystkie wysiłki zmierzają do odrodzenia roli teatru... Zorganizujemy centralną agencję sztuk oryginalnych i tłumaczonych, powołamy do życia radę repertuarową... przygotowujemy odpowiednio wyszkolone kadry instruktorów".**

A więc repertuar. Zajrzyjmy do prasy. W Krakowie, Katowicach, Bydgoszczy — potrzykroć „Zemsta". Jak komentują sprawozdawcy ten jednomyślny wybór?

Witold Bełza w numerze 21 bydgoskiej **„Ziemi Pomorskiej"** pisze:

„Że dyrekcja teatru wybrała na tę inauguracyjną uroczystość właśnie Fredrę i to jego „Zemstę" — należy uważać za najszczęśliwsze pociągnięcie. Bo Fredro to wszakże tęcza przymierza między sceną a widownią — to tęcza (jak to ślicznie ktoś powiedział) zwiastująca, że się Pan Bóg przestał na nas gniewać — to najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek wykwitł na naszej smutnej polskiej ziemi. A jakkolwiek nie stać nas dziś na pustą wesołość, bo rany jeszcze bolą i pamięć nieszczęść, któreśmy przeszli, jeszcze zbyt świeża — to jednak ten uśmiech choćby przez łzy, uśmiech, jaki rozchyla nam wargi, gdy słuchamy Fredrę, jest lekarstwem koniecznym dla utrzymania równowagi ducha, opanowania nerwów i zachowania siły do walki z jadowitością dnia powszedniego."

Jeśli jedno przedstawienie „Zemsty" przyniosło plon tak niedorzeczny, to przyszłe zadania teatru na ziemi pomorskiej muszą się wydać niepokojąco trudne. Jeśli sprawozdawca teatralny z premiery komedii fredrowskiej wysnuwa wniosek, że „Pan Bóg przestał się na nas gniewać", jeśli Fredrę porównuje do tęczy, albo do lekarstwa na „jadowitość dnia powszedniego", jeśli po pięciu latach wojny o zjawiskach tak czystych pisze się u nas tak mętnie, to nasuwa się myśl, czy kadry instruktorów teatralnych, o których wspomina w swym wywiadzie dyr. Szyfman, nie powinny się zająć również kształceniem sprawozdawców teatralnych. Mądry komentarz utworu, umiejętna ocena środków inscenizacji, stanowią pierwszorzędne narzędzie w kształtowaniu sądu przeciętnego widza, nie zawsze przecież obdarzonego głęboką kulturą artystyczną.

Dalej idąc śladem „Zemsty", spotykamy głos Śląska. **„Dziennik Zachodni"** odznacza się zdolnością oryginalnego uchwytu zagadnień. W numerze 48 czytamy w artykule anonimowego autora:

„Zemsta" zapełnia u nas tę lukę, jaką tworzył brak naszej komedii ludowej, którą w Polsce w 17 wieku z tak lekkim sercem złożono do grobu. Głęboki instynkt poetycki kazał poecie jakby nawiązać, choć nieświadomie, do tamtego, zmarnowanego wysiłku rybałtowskiej komedii polskiej, i to Fredro wreszcie, szczęśliwy w swym dziele, choć może nie lepiej przez współczesnych rozumiany od swych poprzedników, wywiódł na scenę polskich masek „szumnych, piórnych i czupurnych", jak mówi o jednej ze swych postaci anonimowy rybałt z 17 wieku. Tak ów „hrabia" zrealizował testament artystyczny biednych skolarów, dla których jakoś nie znalazło się ongiś miejsca na wielkiej ziemi polskiej."

Te słowa coś oznaczają, jakąś treścią się świadczą. Tych parę zdań, trafnych czy nie trafnych, zawiera pewną masę intelektualną, materiał do sporu czy okazję poklasku. O to przecież chodzi.

To również miał zapewne na oku **St. W. Balicki,** pisząc w artykule „Tragedia Fredry" w **„Dzienniku Polskim"** (nr. 56):

„Oduczono nas śmiać się. Oduczono nas mądrego i jasnego spojrzenia w rzeczywistość, boimy się śmiałego, czy pogodnego a nawet ostrego w satyrze wniknięcia w sedno naszych myśli i czynów. Otrzeźwienie i odrodzenie przyjść może i powinno. Szkołą beztroskiego i szczerego śmiechu, serdecznej zadumy nad naszą przeszłością będzie — Fredro... Fredro satyrykiem nie był, ale także nie był fotografem polskiej obyczajowości, nie apoteozował, nie bronzował przeszłości i czasów sobie współczesnych. Patrzył na „czerepy rubaszne" z sentymentem, jak Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", ale miał poczucie rzeczywistości, swej misji dziejowej w życiu narodu, jako twórca polskiego śmiechu."

Felieton o Fredrze z okazji „Dam i huzarów" oraz „Zemsty", dwóch premier w teatrze im. J. Słowackiego, był rzeczą konieczną, ale kto wie czy wystarczającą. Dwie obszerne recenzje o obydwóch utworach nie byłyby nadmiarem, jeśli istotnie teatr ma otworzyć podwoje dla szerokich rzesz. Widz, czytelnik i słuchacz nieobyty ze sprawami sztuki, żąda dokładnej informacji, ścisłego szczegółu, nie tylko syntezy. Oto jeszcze jeden obowiązek nowej krytyki teatralnej: rozszerzać kulturę sceny, nie tylko ją pielęgnować.

Na marginesie licznych wznowień Fredry — słowo. Każde wznowienie musi być uzasadnione i nie powinno wynikać z przypadku. Jeśli o wystawieniu sztuki decydują kostiumy, które ma się pod ręką, albo skład zespołu, którym się rozporządza — to błąd. Każde wznowienie powinien by może poprzedzić rodzaj „exposé" dla publiczności, w którym dyrektor czy kierownik literacki teatru wyjaśniłby swój wybór. Wznawiając sztukę dziś, u progu życia teatru Trzeciej Niepodległości, nadaje się jej wagę i godność, którą należy uwydatnić i wyrazić mniej zdawkowo, niż jubileuszowym komplementem.

Przykładem dziwactw krytycznych służy sprawozdanie z premiery „Męża doskonałego" w n-rze 3-cim **„Tygodnika Powszechnego":**

„Ogólne wrażenie" — pisze Tadeusz Kudliński — *„to poczucie wielkiej radości z powodu nawału twórczości dramatycznej i teatralnej, kłębiącej się w tym przedstawieniu. Nareszcie oddychamy czymś nowym. Utwór Zawieyskiego... zdobywa nas głębokim przeżyciem, przetrawionym myślą dostałą i mądrością zadumy, wykwitłej z bólu istnienia. Nasuwa porównania do wywierzyska, bijącego z głębokich pokładów, do rozkwitłego kwiatu, tkwiącego korzeniami w rodzajnej glebie uczuć i myśli... Cisza liryczna budzącego się na nowo życia, radosne wrażenie cudu, rozwierania się kwiatu, subtelność świtu, zroszonego łzami, wiosenna zorza, pogoda wschodząca nad nędzą — zostały wyrażone przepięknie zarówno przez autora, jak i przez scenę, środkami przypominającymi nasłuchiwanie szeptu pękających pączków."*

A więc i Zawieyski doczekał się swego „wywierzyska" i „świtu zroszonego łzami". Ten styl sprawozdania o sztuce, choćby najbardziej entuzjastyczny, nigdy nie bywa pożyteczny ani dla niej ani dla widza.

Antynaturalistyczny pogląd na styl teatru wypowiada **Helena Wielowieyska** w artykule „Troja zdobyta", w numerze 7 **„Naprzodu".**

„... zwycięstwo nie stało się udziałem formalistów, wychodzących od poszczególnych elementów sztuki teatralnej i konstruujących widowiska na zimno, jak dziecko, układające domek z różnej wielkości klocków. Nie stało się też udziałem psychologistów, rejestrujących drgnienia dusz wyjątkowych; zabłąkali się oni w ślepą uliczkę psychologicznego naturalizmu czy wiwisekcjonizmu. Zwycięstwo przyszło od strony zupełnie niespodziewanej: od strony tematu.

Artysta... chce być nareszcie słyszany i to słyszany i rozumiany przez wszystkich. Będzie więc ukazywał przeżycia i wielkie postacie: postacie-symbole, w których zmieszczą się doznania nas wszystkich, szarych ludzi. Sztuka teatralna będzie wielką metaforą. Prosta w konstrukcji i w założeniu tematycznym, musi być tak wielopokładowa i precyzyjnie przemyślana, tak kompozycyjnie skończona, żeby zaspokoiła głód intelektualny współczesnego człowieka. Ta nowoczesna idealna sztuka musi być tematycznie związana z życiem społeczeństwa. Inaczej nie będzie miała żadnego oddźwięku, będzie nudzić."

Ta wizja nowego teatru, choć niezupełnie określona i jednoznaczna („wielka metafora", „postacie-symbole") odznacza się trafną ambicją. Teatr powinien odzyskać charakter wielkiego widowiska. Rampa, oddzielająca widza od sceny, nadaje sprawie, która się na niej rozgrywa, cechy wyjątkowości; widz, musi odnosić wrażenie, że to co widzi przed oczami, jest bezwzględnie ważne. Teatr drobnej plotki należy niechybnie do przeszłości. Jaki będzie teatr przyszłości — rozstrzygnie nowa twórczość dramatyczna, wyczuwa się już jednak wyraźnie sugestię teatru wielkich form.

(kb)

KRONIKA

Państwowe Wydawnictwo Literackie (Goslitizdat) w Moskwie jest najpoważniejszym rosyjskim wydawnictwem literatury pięknej; rozszerzyło ono swoją działalność wydawniczą w roku 1944 w porównaniu z rokiem 1943. W ubiegłym roku wydano 120 książek o ogólnym nakładzie 5 milionów egzemplarzy. Pojawiły się pierwsze tomy pełnych wydań Czechowa i Kryłowa. „Wojna i pokój" ukazała się po raz wtóry od wybuchu wojny radziecko-niemieckiej w nakładzie 50 tys. egzemplarzy. Wydano jednotomowe zbiory utworów Turgeniewa, Leskowa, Czechowa, Mamina-Sibiriakowa, Korolenki i Gleba Uspieńskiego. W serii „Pisarze-patrioci wielkiej ojczyzny", pojawiły się wybrane utwory Tołstoja, Turgeniewa, Dobrolubowa, Nikitina i Briasowa. Z utworów współczesnych pojawiły się: baśnie Bażowa pt. „Malachitowa szkatułka", powieści W. Kostyllewa „Iwan Groźny", A. Nowikowa-Priboja „Kapitan pierwszej rangi", W. Szyszkowa „Emilian Pugaczew", tom czwarty wspomnień A. Ignatiewa „Pięćdziesiąt lat w szeregu", „Notatki pisarza" N. Teleszewa, wspomnienia J. Majskiego „Przed burzą", książka W. Jażwickiego „Poprzez dym ognisk", książki M. Szaginian „Ural w obronie", L. Leonowa „Zdobycie Wielikoszumska", L. Sobolewa „Drogami zwycięstw", W. Wasilewskiej „Po prostu miłość" i inne. Z literatury narodów ZSRR pojawiły się utwory pisarzy białoruskich (A. Kuleszowa „Sztandar brygady" i M. Tanka „Januk Sieliba"), ukraińskich, litewskich, łotewskich, osetyńskich i in. Z literatur zagranicznych pojawiły się przekłady pisarzy angielskich, amerykańskich, czeskich, norweskich i in. Borys Pasternak dał nowe przekłady z Szekspira („Antoniusz i Kleopatra", „Romeo i Julia"), ukazały się nowe przekłady powieści Balzaka, Flauberta i Romain Rollanda, wybrane utwory Whitmana w przekładzie K. Czukowskiego. Z literatur słowiańskich m. in. wybrane bułgarskie pieśni ludowe i starodawne opowieści ludu czeskiego.

„Pisarz Radziecki", drugie poważne wydawnictwo literatury pięknej w Moskwie, rozszerzyło w roku 1944 swoją działalność wydawniczą. Ukazało się wiele książek o obecnej wojnie radziecko-niemieckiej, wśród nich: „Dni i noce" K. Simonowa, opowiadania W. Kożewnikowa i I. Erenburga, „Gwardziści" J. Libiedynskiego, „Leningrad w dni blokady" A. Fadiejewa, „Złota gwiazda" L. Nikulina. O walce na zapleczu mówią książki F. Gładkowa „Przysięga", A. Karawajewowej „Ognie", N. Katajewa „Żona" i in. Z druku wyszły powieści historyczne S. Siergiejewa-Censkiego „Przełom Brusiłowa" i „Działa naprzód", I. Nowikowa „Puszkin na południu", opowieść dramatyczna Al. Tołstoja „Iwan Groźny", biografia literacka „Majakowski", W. Kataniana i in. Wydano wybrane utwory A. Tołstoja, K. Treniewa, N. Teleszewa i J. Krymowa. W roku 1944 nakładem „Radzieckiego Pisarza" ukazało się 14 tomów wierszy, m. in. młodego poety C. Gudzenki i Borysa Pasternaka. Wydano wiele tomów wydatniejszych utworów literatur narodów ZSRR (ukraińskiego, białoruskiego, gruzińskiego, dagestańskiego, turkmeńskiego, tadżyckiego, uzbeckiego, jakuckiego, ormiańskiego, kirgiskiego, kazachskiego i in.).

Wydawnictwo „Prawdy" przygotowuje masowe wydanie wielu utworów radzieckich pisarzy i dziennikarzy o wojnie z Niemcami. W nakładzie po 200 tys. egzemplarzy ukażą się następujące książki: „Zoja" M. Aliger, „Bajdy o Niemcach" P. Bażowa, „Tęcza" i „W chacie" W. Wasilewskiej, „Dusze nieujarzmione", „O życiu i śmierci" i „Żołnierz Aleksy Kulikow" B. Gorbatowa, „Lud jest nieśmiertelny" i „Stalingradzka saga" W. Grossmana, „Życie" W. Ilienkowa, „Domek na wzgórzu" W. Kawierina, „Pracownicy morza" W. Kożewnikowa, „O 28 poległych bohaterach" A. Krywickiego, „Matka" O. Kurganowa, „Zdobycie Wielikoszumska" L. Leonowa, „Tania" P. Lidowa, „Swoimi oczyma" F. Panfierowa, „Dziennik korespondenta wojennego" B. Polewoja, „Przebiegła dziewczynka" S. Siergiejewa-Censkiego, „Wiersze frontowe", „Rosyjskie serce" i „Jugosłowiański zeszyt" K. Simonowa, „Dusza morska" i „Drogami zwycięstw" L. Sobolewa, „Rysy radzieckiego człowieka" M. Tichanowa, „Śmiałkowie" Al. Tołstoja, „Dumne nazwisko" W. Szyszkowa, „Nasza nienawiść" i „Walczyli za ojczyznę" M. Szołochowa, szkice i felietony I. Erenburga.

Książki dla dzieci. W roku 1944 Państwowe Wydawnictwo Literatury Dziecięcej (Dietgiz) wydało 121 książek dla dzieci o ogólnym nakładzie 6 204 600 egzemplarzy.

Książki o Stalingradzie. Ukazała się książka Niemczyńskiego i Jurlewa „Bitwa stalingradzka"; Iw. Podierin napisał dziennik o legendarnej obronie sławnego miasta „159 dni w Stalingradzie"; literacki almanach „Wielka wojna patriotyczna" zawiera w drugim tomie prócz innych materiałów również utwory poświęcone Stalingradowi; przygotowana do druku książka W. Grossmana „Lata wojny" zawiera szkice stalingradzkie pisarza; W. Grossman przygotowuje książkę o Stalingradzie; powieść K. Simonowa (o obronie Stalingradu) „Dni i noce", ukazała się w nakładzie 50 tys. egzemplarzy.

W. Wieriesajew zakończył przekład „Iliady" i „Odyssei". Praca nad tym przekładem trwała osiem lat.

A. Fadiejew napisał powieść „Młoda gwardia", poświęconą bohaterskiej walce z Niemcami ludzi z nad Donu.

Książka W. Kataniana „Majakowski" w formie dokumentarnej odtwarza życie poety. W książce są przytoczone daty publikacji utworów Majakowskiego i pojawienia się jego książek oraz daty jego wystąpień literackich i politycznych. W książce są wyzyskane materiały czasopiśmiennicze, korespondencja poety i, jak zaznacza autor, „w niewielkim stopniu wspomnienia współczesnych".

„Bezlitosny romans". Komedię liryczną pod tym tytułem napisał A. Gładkow. Przygotowuje ją teatr im. Wachtangowa.

W języku rosyjskim ukazał się tom przekładów poety białoruskiego P. Browki „Białoruś". Weszły tu utwory napisane w latach 1942—43. Znaczne miejsce zajmuje poemat „Jasny Kąt" o odbudowie zburzonego przez Niemców kołchozu.

Kryłow po osetyńsku. Ponad 50 bajek Kryłowa przełożonych na język osetyński wydano w oddzielnej książce w Osetii.

Słowacki po rosyjsku. W serii „Literatura słowiańska", wyjdzie tom przekładów utworów Juliusza Słowackiego, obejmujący wiersze liryczne, patriotyczne i polityczne oraz „Lillę Wenedę". Przedmowę napisał prof. A. Bielecki.

Biblioteka Lenina. W lutym 1925 r. biblioteka Rumiancewa została przekształcona na Państwową Bibliotekę ZSRR im. Wł. Lenina. Obecnie biblioteka liczy ponad 10 milionów tomów (książek i czasopism) w 160 językach. W roku 1944 odwiedziło ją milion ludzi. Biblioteka ma swoje filie w ważniejszych instytucjach kulturalnych Moskwy i stworzyła sieć abonamentów międzybibliotecznych, liczącą ponad 1500 punktów. Od roku 1936 Biblioteka im. Lenina dokonuje wymiany książek z zagranicą. Obecnie jest związana z 36 krajami, przede wszystkim z Anglią i Ameryką. Biblioteka liczy wiele specjalnych katalogów, obecnie zbliża się do końca praca nad wielkim, generalnym, systematycznym katalogiem. Dużo miejsca w działalności biblioteki zajmuje praca informacyjno-bibliograficzna. W roku 1944 wydano 49 tys. informacyj bibliograficznych. Wydrukowano przewodniki bibliograficzne z różnych dziedzin wiedzy, nauki, literatury, sztuki, historii itd.

Nowe filmy radzieckie. Film „Dni i noce w Stalingradzie" według scenariusza K. Simonowa został częściowo wykonany jesienią 1944 r. na miejscu walk o to miasto; opera P. Czajkowskiego według opowieści Gogola „Noc przed Bożym Narodzeniem" została sfilmowana; film „Rodzime pola" opowiada o życiu w kołchozie podczas obecnej wojny.

W OCZACH PISARZY *)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

TEATR, POWIEŚĆ, WSPOMNIENIA

Nowa rzeczywistość polska zmieniła zasadniczo rolę kultury w naszym życiu. W porównaniu z okresem przedwojennym zrobiono w tej dziedzinie twórczości duży krok naprzód. Mimo trudnych warunków poświęca Rząd wiele trudu, nakładu pracy i środków dla zdynamizowania ośrodków kultury, przy zasadniczej nucie jej upowszechnienia.

Społeczeństwo i twórcy wygłodzeni długim okresem okupacyjnego ucisku, podejmują każde poczynanie z radością i energią. Różne zacięcia i braki wytwarzają na razie jeszcze niejasny obraz stosunków. O ile w dalszym rozwoju przeważy zasada demokracji, istotnej i szerokiej platformy współpracy, przeżyjemy zdaje się piękny okres odrodzenia, w którym wyładują się nagromadzone pod skorupą ucisku niemieckiego siły twórcze. Wielka tęsknota do swobody twórczej i wejścia z nią w głąb społeczeństwa znajdzie swe zaspokojenie.

Ważną rzeczą jest rozbudowa artystycznych związków zawodowych, oczyszczenie z łatwizn, skrystalizowanie istotnie wartościowego, twórczego elementu, nadanie mu cech ważności i powagi. Skończyć trzeba z dorywczością pracy, pół-amatorstwem artystycznym, z nędzą i wyzyskiem pracy kulturalnej, a budować nowy świat kultury rzetelnie, swobodnie a obowiązkowo.

Interesuję się szczególnie teatrem.

Polityka Departamentu Teatralnego weszła na nowe tory. Szeroka inicjatywa i istotnie społeczna podstawa planowania pozwala przypuszczać, że teatr — ta najważniejsza ze sztuk w okresie przełomu, przyspieszająca postęp — stanie się istotnie ośrodkiem żywego działania sztuki w społeczeństwie i oddziaływania jej na społeczeństwo, że istotnie przestanie być kosztowną, jak dotąd rozrywką zblazowanych, a weźmie na się rolę miejsca dla przeżywania głębokich, zbiorowych wzruszeń, odsłaniających i uświadamiających istotę życia i rzeczywistości.

W czasie okupacji zajmowałem się wiele teatrem. Przymusowa bezczynność dała więcej czasu na przemyślenia i studia. Owocem tego wysiłku jest książka o teatrze — nie naukowa, chciałbym ją nazwać raczej artystyczną improwizacją. Celem jej jest uzupełnienie braków w tej dziedzinie u nas. Ma ona zakrój encyklopedyczny, tzn. chce wyczerpać wszystkie problemy teatru, jako zjawiska artystycznego i społecznego. Tytuł tej pracy „**Labirynt zwany teatr**".

W związku z tymi zainteresowaniami przetłumaczyłem również książkę **Tairowa** pt. „**Teatr wyzwolony**" (nb. z niemieckiego przekładu, gdyż języka rosyjskiego nie znam).

Podziemne życie teatralne w Krakowie było pod okupacją dość bujne. Trudno szczegóły tu przytaczać. Przypuszczam, że z czasem ukażą się w druku wyniki tych doświadczeń zarówno praktycznych jak i teoretycznych. To co znam, pozwala mi przypuszczać, że nagromadzone siły pozwolą na gruntowną przebudowę życia teatralnego u nas w kierunku unarodowienia stylu, wzniesienia poziomu artystycznego i uczynienia teatru sprawą powszechną.

Z dziedziny prozy wykończyłem zaczętą przed wojną powieść ze środowiska artystycznego pt. „**Farbowane lisy**", napisałem wspomnienia z więzienia pt. „**Montelupa**" — i jestem w toku pisania powieści, w której postacią czołową jest artysta, przeżywający przesilenie na wzór brata Alberta. Ku temu tematowi skłoniło mnie pogłębienie myślenia i życia religijnego, oraz chęć spróbowania w powieści zagadnienia moralności chrześcijańskiej na szerszym tle społecznym i artystycznym.

O drobniejszych pracach nie wspominam.

Tadeusz Kudliński

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ

Grozę hitleryzmu odczułem silnie na kilka lat przed wojną, gdyż w r. 1934-tym pięć tygodni spędziłem w Niemczech i mogłem zaobserwować budzący się imperializm niemiecki. Pod wrażeniem tego pobytu napisałem dramat pt.: „**Dyktator**", grany w Warszawie w Teatrze Kameralnym, w początkowym okresie „przyjaźni" polsko-niemieckiej. Protest mój był wówczas przysłowiowym wołaniem na puszczy — został przemilczany lub, w najlepszym razie, wykpiony.

Gdy rozpoczęła się wojna, żadne przewidywanie, żadne logiczne wnioskowanie nie dosięgało wymowy samych faktów, które przerastały wszystko cokolwiek przedtem można było o tym pomyśleć.

Z dzisiejszej perspektywy najstraszniejszy był początek prześladowań niemieckich, nie ze względu na samo nasilenie faktów, lecz na naszą reakcję. Wawer wydawał się wówczas szczytem potworności, tak samo stworzenie ghetta i pierwszy obóz — Oświęcim. Na dalsze, coraz straszniejsze zbrodnie patrzyliśmy oniemiali i nie znajdowaliśmy ani właściwego słowa, ani właściwej w sobie reakcji. Mogła istnieć jedna tylko odpowiedź i jedna decyzja: las, partyzantka, walka wręcz.

Nie należałem do tych, którzy taką decyzję podjęli, — i dlatego mam do dziś w sobie gorzkie poczucie ominięcia najwłaściwszej i jedynej drogi. Zamiast problemu „spluwy" zrodził się problem rozrachunku kulturalnego i intelektualnego z rzeczywistością wojny. Była ona dla mnie przede wszystkim pohańbieniem człowieczeństwa. Prosty i zdrowy odruch nakazywał bronić tej pozycji, która stanowi podstawę kulturalną i zasadę twórczego warsztatu pisarza.

Wiara w możność przekształcenia siebie, a co za tym idzie przekształcania życia zbiorowego stała się fundamentem moich rozważań o nowym humanizmie. Lecz humanizm jako pojęcie filozoficzne i jako postawa wobec życia nie jest sprawą jednoznaczną, przeciwnie — złożoność humanizmu domagała się uporządkowania, choćby w sztywnych ramach schematycznej klasyfikacji.

Wygłosiłem kilkanaście odczytów o nowym humanizmie, a także o Mickiewiczu jako humaniście i realiście.

Na tej drodze intelektualnej świadomości powstały moje trzy dramaty i dwie powieści. Na innym miejscu i kiedy indziej chciałbym rozważyć stosunek humanizmu do problemu sztuki, ściślej: do nowego realizmu. Wojna pogłębiła moje zainteresowania historyczne, filozoficzne i społeczne. Noszę się z zamiarem napisania dużej powieści historycznej, która ujawniłaby włókna i motywy teraźniejszości.

Nie wszystkie prace wojenne uważam za dokonania zupełne. Ważne są one tylko dla mnie jako doświadczenie i jako etap rozwoju.

Jerzy Zawieyski

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, J. Kornackiego, J. Kydryńskiego, H. Mortkowicz-Olczakowej, J. G. H. Pawlikowskiego i E. Szelburg-Zarembiny w nr. 19, 20 i 21 „Odrodzenia".

Mieszaniny

Teatr miejski im. Juliusza Słowackiego w Krakowie drukuje w programie z przedstawienia „Dziewczyny z lasu" niezwykle subtelną i wnikliwą analizę twórczości Szaniawskiego oraz teatru w ogólności, pióra Gustawa Olechowskiego. Przejrzystość i celność tekstu, lekkość pióra, ważkość myśli i odkrywcza prostota w definiowaniu pojęć jest wręcz oszałamiająca. Zacytujmy choćby takie zdanie:

„Co to jest dramat? Jest to problem, który autor bierze za łeb i zwycięża. Gdy nie zwycięży — robi się tragedia, lub tragifarsa."

Sprawa jest poważna i nieprzyjemna. Chcielibyśmy wiedzieć, kto w teatrze im. J. Słowackiego jest odpowiedzialny za dostarczanie szerokiej rzeszy publiczności tego rodzaju strawy duchowej i tego rodzaju komentarzy do polskiej twórczości teatralnej, komu nawymyślał Jacek Frühling za kompromitowanie go umieszczaniem jego szkicu obok tych żałosnych bzdur? Nie możemy ograniczyć się tutaj do śmiechu i drwin, nie możemy zakończyć sprawy złożeniem programu teatru im. J. Słowackiego do literackiego panopticum, obok teatrologicznego dzieła Osterwy z „Tygodnika Powszechnego" i innych dzieł podobnych, których niemal codzień dostarcza nam prasa.

Do teatru chodzą dziś najszersze warstwy ludności, stęsknione za polskim słowem i polską sceną, chodzą ci, którym nowa rzeczywistość obiecuje czynny udział w polskiej kulturze i sztuce, przeznaczonej dotąd tylko dla elity. Co powie robotnik, albo uczeń, który po raz pierwszy idzie do teatru i dowiaduje się, że dramat to jest problem, który autor bierze za łeb i zwycięża? Powie, że to wszystko bujda, żeby mu nie zawracać głowy, bo nie ma na to czasu i przestanie chodzić do teatru. Musimy dziś być niezmiernie ostrożni i wyrachowani w słowach. Literackie słowa nie zawsze powinny być łatwe i od razu zrozumiałe. Szerokie rzesze ludu polskiego, wrażliwe i inteligentne, dotrą niewątpliwie nawet do dzieł trudniejszych i bardziej skomplikowanych. Ale ku tym dziełom musi je prowadzić przewodnik, którym jest myśl i słowo proste, jasne, uczciwe i przede wszystkim prawdziwe. Dlatego komentarze w programach teatralnych są dziś rzeczą wielkiej wagi i powinny być pisane tak, by stać się pośrednikiem między widzem a teatrem. Sądzę, że byłoby sprawą dorzeczną, aby dyrekcje teatrów porozumiawszy się ze Związkiem Literatów przedsięwzięły właściwą akcję, planową i zakrojoną na szeroką skalę.

Warto byłoby również, żeby teatr im. Słowackiego przedsięwziął w ogóle jakąś akcję planową i na szeroką skalę. Teatr ten, który winien być pierwszą sceną Krakowa i który mógłby śmiało stać się pierwszą sceną w Polsce, który ma bodaj najlepsze i najstarsze tradycje ze wszystkich polskich teatrów, jest tak beznadziejnie senny, że już koło bramy Floriańskiej ogarnia wszystkich ziewanie. Śpi dyrekcja, śpi kierownictwo artystyczne, śpią aktorzy, śpią widzowie, a korzystając z drzemki różne nieodpowiedzialne osoby wyżywają się grafomańsko w programach. Teatr nie zadaje sobie najmniejszego trudu, ażeby rozpocząć pracę nad konkretyzowaniem jakiegoś nowego oblicza teatralnej sztuki w Polsce. Wszystko co tam oglądamy jest nużąco zdawkowe, przeżyte i pozbawione jakichkolwiek ambicji artystycznych. Nie chodzi tutaj o to, żeby od razu dokonywać śmiałych eksperymentów. Ale chciałoby się w przedstawieniu odczuwać przynajmniej jakiś zapał twórców i odtwórców, widzieć jakiekolwiek, już mniejsza udane czy nie, próby odświeżania starych i zużytych form, chciałoby się czuć pulsujące życie, a nie stęchliznę wiejącą od kulis, starych dekoracji i rekwizytów. O przedstawieniach teatru Słowackiego nie mówi się ani dobrze, ani źle. Nie mówi się wcale, tylko się ziewa.

Oczekujemy, że ktoś weźmie teatr im. J. Słowackiego za łeb i go zwycięży. Inaczej zrobi się gruba tragedia, albo tragifarsa.

Stanisław Dygat

MUZYKA POLSKA W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Gdy polska muzyka w Polsce musiała kryć się w najrozmaitszych zakonspirowanych instytucjach, a polscy artyści umilkli na okres 5 lat wojennych pod grozą hitlerowskiego terroru, w Związku Radzieckim szło życie muzyczne normalnym trybem. Zagrzani gorącą falą patriotyzmu kompozytorzy radzieccy wypuszczali w świat coraz nowe dzieła, a sale koncertowe wypełniały się publicznością po brzegi; co więcej, rosło zainteresowanie dla sztuki bratnich narodów słowiańskich, walczących z hitleryzmem, a w pierwszym rzędzie dla sztuki i muzyki polskiej, rozbudzone szczególnie z chwilą powstania Związku Patriotów Polskich.

Gdy wiosną 1943 roku, na terenie Związku Radzieckiego zaczęła się organizować Armia Polska, w obozach ćwiczebnych zabrzmiały polskie piosenki żołnierskie. Przystąpiono natychmiast do zbierania tych piosenek, tekstów, melodii i w ten sposób powstał **„Śpiewnik Żołnierza Polskiego"** pod redakcją znanego muzykologa polskiego, **dr. Zofii Lissy,** zawierający pieśni żołnierskie, ludowe, rewolucyjne i in. W ślad za „Śpiewnikiem Żołnierza Polskiego" powstały — również pod redakcją dr. Lissy — dwa **śpiewniki szkolne:** dla przedszkoli i dla szkół Komitetu dla Spraw Dzieci Polskich w ZSRR, w których zostały zebrane pieśni pracy, patriotyczne, wojenne, pieśni o specjalnej tematyce dziecięcej, tańce, kanony i pieśni innych narodów słowiańskich. Redaktorce udało się zainteresować swoją pracą kompozytorów radzieckich, dla których materiały te były dotąd mało znane, a którzy mają szczególny kult dla sztuki ludowej. Rezultatem tego zainteresowania były liczne **opracowania pieśni polskich przez kompozytorów radzieckich,** jak tego dowodzi np. zbiór opracowany przez Włodzimierza Iwannikowa, który pisze obecnie oratorium o tematyce, związanej z walką narodu polskiego o wolność. Pieśni te stały się wkrótce bardzo popularne, zwłaszcza gdy wcielił je do swego repertuaru najlepszy tenor Związku Radzieckiego, Jan Kozłowski. Obecnie dr. Lissa przystępuje do wydania serii takich opracowań polskiej pieśni ludowej; znajdą się w niej nazwiska Mariana Kowala, Wiktora Biełyja, Michała Jordańskiego, ormiańskiego kompozytora Mikołaja Czemberdżi, Sergiusza Kondratiewa i innych.

Wraz z rosnącym zainteresowaniem kulturą i sztuką polską w ZSRR weszła również tzw. artystyczna muzyka polska do stałych programów najrozmaitszych instytucji radzieckich. I tak począwszy od zimy roku ubiegłego zaczęło nadawać **Radio Wszechzwiązkowe** godzinne koncerty poświęcone muzyce polskiej w każdy piątek jako w dzień koncertów Filharmonii warszawskiej. Mimo dotkliwego braku materiałów doszły do głosu liczne utwory symfoniczne Noskowskiego, **Karłowicza,** wyjątki z „Halki", Polonezy Ogińskiego, Fantazja Chopina; fakt, że jako soliści występowali zawsze najznakomitsi wykonawcy, przeważnie w jakiś sposób z polskim światem muzycznym związani (jak Zak, Tamarkina, Oborin, laureaci szopenowskich koncertów w Warszawie) przyczynił się nie mało do podniesienia artystycznego prestiżu tych audycji. Prócz tego radio nadaje stale w niedzielę 20-minutowe koncerty muzyki polskiej na krótkich falach. Z pietyzmem uwzględnia się przy tym wszystkie drogie nam rocznice (datę śmierci Karola Szymanowskiego, rocznice Moniuszki, Chopina, Karłowicza). Dr. Lissa wystarała się również o płyty polskie, tak że w radio radzieckim często rozbrzmiewa muzyka polska w wykonaniu polskich artystów; szczególną popularnością cieszą się płyty polskiej muzyki ludowej, jak o tym świadczą liczne listy radiosłuchaczy. Znajdują się pośród nich także pieśni w wykonaniu chóralnym śpiewane przez rosyjskie chóry w języku polskim. Poza koncertami radiowymi odbywają się liczne polskie koncerty symfoniczne w salach koncertowych z udziałem najlepszych orkiestr i wykonawców.

Dla bliższego zapoznania kół fachowych z polską kulturą muzyczną, jej tradycjami, warunkami i rozwojem historycznym zorganizowała dr. Lissa odczyty i wykłady w różnych moskiewskich instytucjach kulturalnych, jak wykład pt. „Z dziejów opery polskiej" we Wszechzwiązkowym Towarzystwie Teatralnym, które zajmuje się naukowym badaniem spraw teatru (wykład był połączony z wystawą fotografii z paryskiej premiery baletu Szymanowskiego „Harnasie"), „Z zagadnień polskiej współczesnej kultury muzycznej" w Związku Kompozytorów Radzieckich, o Chopinie (z ilustracją Tamarkiny) w Muzeum Kultury Muzycznej, o Szymanowskim i in. W najbliższym czasie ukażą się też prace naukowe dotyczące kultury muzycznej, m. in. „Historia muzyki polskiej" w wydaniu Akademii Nauk.

Specjalne zainteresowanie wzbudza obecnie w Związku Radzieckim twórczość kompozytorów polskich okresu wojennego. Z okazji wystawy polskiej, projektowanej na lato przez Związek Patriotów Polskich, ma być urządzony w Moskwie festival współczesnej muzyki polskiej wraz z polskimi artystami jako wykonawcami. Byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną, by nasze koła muzyczne mogły drogą wymiany uzyskać materiały do zapoznania się z twórczością muzyczną Związku Radzieckiego lat ostatnich. Warunki, w których żyliśmy dotąd, nie sprzyjały takim przedsięwzięciom. Teraz jednak, gdy mamy już poza sobą pierwsze kłopoty organizacyjne, warto byłoby przyjrzeć się bliżej, jak wygląda życie muzyczne w kraju największych w tym kierunku możliwości, ku czemu zdąża jego sztuka, która postawiła sobie nowe ideały, a przede wszystkim jakie nauki zdołamy wyciągnąć dla siebie z dwudziestokilkoletnich doświadczeń i prac naszych wielkich sąsiadów ze Wschodu.

Stefania Łobaczewska

Kalendarz kulturalny

Dr Marian Rytel, profesor psychologii na uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej, zmarł 29 marca 1945 r. w wieku 40 lat w Lublinie. Zmarły był wieloletnim współpracownikiem prof. Heinricha w Zakładzie Psychologii Doświadczalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszy stanął do pracy naukowej w wyzwolonym Lublinie i pierwszy rozpoczął normalne wykłady dla studentów. Pod okupacją był robotnikiem w fabryce, później subiektem w sklepie, wreszcie prowadził tajne komplety w Józefowie pod Warszawą.

Został opracowany nowy statut Ministerstwa Oświaty, który przewiduje stworzenie: 1. departamentu polityki szkolnej i reformy ustroju szkolnego, 2. departamentu oświaty i kultury dorosłych i 3. osobnego departamentu, poświęconego zagadnieniom młodzieżowym. Departament polityki szkolnej i ustroju szkolnego zajmie się przebudową szkolnictwa w celu zdemokratyzowania i udostępnienia szkół wszystkim warstwom społeczeństwa.

W Bydgoszczy w sali Hotelu „Pod Orłem" odbyła się uroczystość wręczenia księgozbioru Lenina z Biblioteki Miejskiej w Bydgoszczy przedstawicielom Związku Radzieckiego. Księgozbiór ten ofiarował bibliotece w r. 1932 Adam Grzymała-Siedlecki. Zawarte w nim książki posiadają mnóstwo notatek i przypisów, dokonanych ręką Lenina, stanowiące przez to bogaty materiał studiów dla uczonych radzieckich.

Powszechne Wykłady Uniwersyteckie w Krakowie rozpoczęto 15 kwietnia br. Przemówienia wygłosili rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. T. Lehr-Spławiński i doc. dr. K. Piwarski. Prof. M. Małecki wygłosił odczyt „Idea słowiańska a nauka".

Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie rozpoczęła pracę. Zgłosiło się ponad 350 kandydatów, przyjęto około 320, z czego 260 przypada na I i II rok studiów, gdy reszta obejmuje trzy pozostałe kursy. Przed wojną na pierwszym roku było około 40 studentów, obecnie jest ich ponad 200.

W Akademii Górniczej w Krakowie odbyła się dnia 16 kwietnia inauguracja roku szkolnego. Prof. Walery Goetel złożył sprawozdanie z działalności uczelni podczas okupacji. Profesorowie Akademii prowadzili pod okupacją tajne nauczanie; 278 studentów złożyło egzaminy, jeden otrzymał doktorat inżynierski; pracownicy naukowi napisali 71 oryginalnych prac i 54 podręczniki. Obecnie na pierwszy rok studiów zgłosiło się około 500 studentów.

W Krakowie kierownictwo Polskiego Radia wprowadziło tygodniową audycję pt. „Apel poległych pisarzy", poświęconą pamięci literatów, zamordowanych przez Niemców. Audycje te składają się ze słowa wstępnego i z recytacji fragmentów dzieł zmarłego pisarza. Dotychczas rozgłośnia krakowska nadała apele poświęcone pamięci: Boya-Żeleńskiego, Ignacego Fika, Janusza Korczaka i Mieczysława Brauna.

Teatr Miejski im. Juliusza Słowackiego wznowił sztukę Jerzego Szaniawskiego pt. „Dziewczyna z lasu". Reżyseria J. Karbowskiego. Zapowiedziane są: „Cezar i człowiek" Adolfa Nowaczyńskiego, „Penelopa" Ludwika H. Morstina, „Rosjanie" Konstantego Simonowa.

Dnia 18-go kwietnia w krakowskim Domu Literatów odbyła się publiczna dyskusja nad sztuką J. Zawieyskiego pt. „Mąż doskonały". Przemawiali: T. Breza, J. Ronard-Bujański, dr. Z. Leśniodorski, W. Natanson, A. Świderska, St. Otwinowski, K. Wyka. Zarzuty, które wyrażono, dotyczyły mesjanistycznej tendencji utworu.

W krakowskim Domu Literatów odbywają się co sobotę czarne kawy literackie o charakterze satyryczno-humorystycznym, poświęcone aktualnym wydarzeniom w dziedzinie literatury i sztuki. W występach udział biorą: St. Dygat, Z. Fijas, J. Kydryński, G. Miklaszewski, S. Otwinowski, Art. M. Swinarski, H. Wielowieyska.

Studio teatralne przy łódzkim teatrze miejskim zostało otwarte 14 kwietnia br. Studio mieści się w dawnym pałacu Poznańskich, wielkich właścicieli fabryk.

W Łodzi odbyła się inauguracja „piątków literackich" Związku Zawodowego Literatów Polskich. Pierwszy odczyt dyskusyjny wygłosił Mieczysław Jastrun: „O bezdziejowości literatury polskiej". Prelegent podkreślił zależność pisarza od życia społecznego i wytknął cechy ucieczki od rzeczywistości, znamionujące literaturę polską ostatnich czasów.

W dniach od 22 do 29 kwietnia 1945 w Łodzi i na terenie województwa łódzkiego odbywa się „Tydzień Książki Polskiej". W ramach „Tygodnia" przewidziane są propagandowe pochody młodzieży szkolnej i organizacji młodzieżowych, akademia pod hasłem: „Ratujmy książkę polską", wystawy książek, wycieczki do zakładów drukarskich i muzeów oraz zbiórki książek i kwesta uliczna.

W Łodzi powołano do życia Państwowe Konserwatorium Muzyczne pod dyrekcją Kazimierza Wiłkomirskiego. Czynne są już wydziały: kompozytorski, kapelmistrzowski, teoretyczny, fortepianowy, instrumentów dętych, harfy, organów i muzyki kościelnej.

Dnia 15 kwietnia odbył się poranek autorski w łódzkim Robotniczym Domu Kultury. Program literacki poprzedził odczyt Adama Galińskiego „O tradycjach literackich Łodzi". W części artystycznej udział wzięli: Czarski Tadeusz, Czerwińska Zofia, Garda Czesław, Zak Lucjan. Dochód z poranku przeznaczony został na Fundusz Odbudowy Stolicy.

Na terenie województwa łódzkiego zostały wydzielone z reformy rolnej ośrodki pod gminne szkoły rolnicze, powiatowe szkoły rolnicze, licea specjalne, uniwersytety ludowe oraz ośrodek pod Wiejską Szkołę Wychowania Społecznego.

W Poznaniu ukazał się pierwszy numer dwutygodnika literackiego „Zdroje", wydawanego przez Związek Zawodowy Literatów w Poznaniu, pod redakcją Czesława Kubalika. Numer pierwszy zawiera publikacje i utwory: A. Haski, Cz. Kubalika, Cz. Latawca, J. Mielcarka, St. Strugarka, J. Szulca, Felicji Szuster, W. Taranczewskiego, M. I. Weigta, dr. F. Widy-Wirskiego.

Związek Zawodowy Literatów w Poznaniu urządził dnia 12 kwietnia w Bibliotece Miejskiej „Czwartek literacki", poświęcony zmarłym pisarzom poznańskim: Stefanowi Balickiemu, Wojciechowi Bąkowi, K. Dobrzyńskiemu.

W Poznaniu powstał Teatr Marionetek przeznaczony dla dzieci poznańskich. Sezon teatralny rozpocznie bajka pt. „Śpiewak leśny" pióra młodego pisarza H. Żuchowskiego.

Na skutek spalenia Warszawy uległo zniszczeniu 20 tys. rękopisów, zakupionych przez księgarzy i wydawców, którzy oceniają straty na pół miliarda złotych.

Stowarzyszenie Miłośników Sztuki w Zamościu zorganizowało orkiestrę symfoniczną, orkiestrę jazzową i zespół estradowo-operetkowy.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8. tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 545-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
M — 01508 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".